

MIEJSCE URODZENIA

Historie lokalne spisane przez
uczniów Akademii Młodego
Obywatela im. Jana Karckiego
2020 rok

**Historie zebrane przez
młodzież z Błędowa, Gąsocina
i Górzna w 2020 roku**

*...Świat jest stworzony ze słów. To, jak myślimy o świecie
i – co chyba ważniejsze – jak o nim opowiadamy, ma więc
olbrzymie znaczenie. Coś, co się wydarza, a nie zostaje
opowiedziane, przestaje istnieć i umiera.*

Olga Tokarczuk, mowa noblowska, 2019

Finansowane ze środków Muzeum Historii Polski
w ramach programu Patriotyzm Jutra 2020.



Koordinacja projektu i redakcja – Bożena Regulska-Komornicka

Korekta tekstu – Dominik Wódz

Opracowanie graficzne, skład – High Profile



Niniejsza książka (Miejsce urodzenia. Historie lokalne spisane przez uczniów Akademii Młodego Obywatela im. Jana Karłowicza 2020 rok) podlega następującej licencji publicznej Creative Commons: CC BY-NC 4.0 (uznanie autorstwa, użycie niekomercyjne międzynarodowe).

Utwór podlega ochronie prawa autorskiego lub innych stosownych przepisów prawa. Korzystanie z tego utworu w sposób inny niż dozwolony na podstawie niniejszej licencji lub przepisów prawa jest zabronione.

Wykonanie jakiegokolwiek uprawnienia do utworu określonego w niniejszej licencji oznacza przyjęcie i zgodę na związanie postanowieniami niniejszej licencji.

ISBN 978-83-949986-8-4

SPIS TREŚCI

WSTĘP 9

BŁĘDÓW

- Natalia Bator, *Powrót do dzieciństwa* 17
- Kinga Boroń, *Sad moich rodziców* 19
- Piotr Duch, *Kiedyś wszyscy byliśmy bliżej siebie* 23
- Małgorzata Fatkowska, *Miałem diabła za plecami* 27
- Marta Kawęczyńska, Oliwia Kaczor, *Najgorzej było, kiedy przechodziła burza* 29
- Jakub Kępką, *Marynarz* 31
- Oliwia Kołacz, *Tamte czasy są dla mnie złym wspomnieniem* 32
- Blanka Oziemska, *Wstawałam o czwartej rano, żeby piec chleb* 34
- Julia Plaskota, Anna Nowakowska, *Ludzie pomagali sobie i wspierali się, jak tylko mogli* 36
- Szymon Serafin, *Podoba mi się bycie dziadkiem* 38
- Marta Wojtczak, *Tęsknię za dawnymi czasami* 39
- Łukasz Zaranek, *Silny, biały koń* 40

GĄSOCIN

- Bartosz Bieńkowski, *O czasach stanu wojennego* 45
- Jakub Bojarski, *Basia* 47
- Jakub Budziszewski, *Rok 1989 był nadzieją dla wszystkich Polaków* 50
- Maria Dziewiątkowska, *Wyprawa na pierwszą pasterkę* 52
- Maja Janiec, *Miło powspominać stare, dobre czasy* 54
- Maria Janiec, *Najważniejsza jest przyjaźń i tolerancja* 55
- Zuzanna Jończyk, *Dzieci i młodzież dawniej* 59
- Martyna Kacprzak, *Chleb z cukrem wodą polany* 61
- Julia i Klaudia Marchewicz, *Kartki na buty* 64

Karolina Metera, *Kiedyś ludzie mieli dla siebie czas* 66
Mateusz Oleszkiewicz, *Choć było ciężko, to jakoś łatwiej się żyło* 73
Kuba Ostrzyniewski, *Jestem dumny z pradziadka* 75
Marcin Palusiński, *Chleb dla partyzantów* 77
Mikołaj Rembecki, *Moje życie było bardzo ciekawe* 79
Wiktoria Rzepkowska, *Wojenne przeżycia* 80
Wiktoria Ślesik, *Największym przysmakiem były owoce* 91
Bartosz Święcki, *W niemieckiej niewoli* 94
Julia Wesołowska, *To są żelazne fakty* 96
Maria Wieluńska, *O zakupach w PRL-u* 100
Bartosz Wroński, *Dziadka poznałam na dyskotecę* 102

GÓRZNO

Jakub Bożek, *Cały czas się baliśmy, że nas zabiją albo okradną* 107
Kacper Garbula, *Po wigilii spaliśmy smacznie na sianie* 111
Gabriela Gładysz, *Wojenna tułaczka* 114
Wiktoria Gruszczynska, *Miałam lalkę z guzikami zamiast oczu* 119
Kamila Jarzyna, *Skromnie, ciężko i biednie* 123
Mateusz Król, *W szkole nie dostawało się uwag, tylko linijką po rękach* 125
Piotr Lis, *Było mało czasu na zabawę* 127
Alicja Michalczyk, *Szkoła uczyła życia* 129
Ksawier Mordka, *Z historii Kobylej Woli* 134
Magdalena Parzyszek, *„Polaku, wiedz – ojczyzno, pamiętaj”* 136
Kacper Popiołek, *Życie malowane wojną* 140
Oliwia Prusińska, *Ojca nie było w domu siedem lat* 144
Mateusz Rutkowski, *Pół wsi się schodziło, żeby obejrzeć telewizję* 146
Wiktoria Siarkiewicz, Mateusz Gałkowski, *Z przeszłości zostały tylko czarno-białe zdjęcia* 149
Kamila Szwed, *Jako dziecko nie znałam smaku słodyczy* 151

Maja Szwed, *To były trudne czasy dla Polski i naszej rodziny* 154
Wojciech Wielgosz, *Jestem taka, bo tak zostałam wychowana* 157
Marcel Zając, *Wycinaliśmy z dyń dziwne stwory i strasziliśmy nimi sąsiadów* 160
Szymon Zuchniak, *Jak żyło się w PRL-u* 162

Wstęp

Szanowni Państwo, Drodzy Uczniowie,

Akademia Młodego Obywatela odbyła się w tym roku pomimo pandemii, która zmusiła nas do izolacji i ograniczania spotkań, chodzenia w maskach i zachowania odległości, zamknięcia muzeów i instytucji kulturalnych.

W tegorocznej czwartej edycji programu Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego, prowadzonej w niespotykanych dotąd warunkach, wzięli udział uczniowie 7 klas szkół podstawowych w Błędownie, Górznie i Gąsocinie. Nauczycielom i uczniom tych szkół oraz trenerom, prowadzącym zajęcia na żywo i on-line, gościom warsztatów i oddanym pracownikom Fundacji serdecznie dziękuję za determinację, wynikającą z przekonania, że edukacji nie wolno nam odłożyć na później.

Choć cały program Akademii musiał być w 2020 roku zmodyfikowany i dostosowany do reżimu pandemicznego, to ostatnia jego część pozostała bez zmian. Uczniowie mieli za zadanie przeprowadzić i zapisać rozmowę z najstarszą osobą w swojej miejscowości lub w rodzinie. Przeszłość była punktem wyjścia, aby uczniowie dowiedzieli się, jacy byli i jak żyli ci, którzy przed nimi. Pochodzenie bowiem to jedna z ważniejszych części naszej tożsamości. Kształtuje się w rodzinnej miejscowości, w domu, na podwórku i w szkole, na świątecznych uroczystościach i przyjacielskich spotkaniach.

Tożsamość naszego patrona Jana Karskiego, honorowanego w Polsce, Izraelu, Stanach Zjednoczonych i w Europie za odwagę, prawość i empatię, formowała się w Łodzi. W domu wielodzietnej katolickiej rodziny, na podwórku skromnej kamienicy, gdzie bawił się z polskimi i żydowskimi rówieśnikami, w szkole podstawowej i gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego, gdzie w jednej klasie uczył się z młodymi Polakami, Żydami, Niemcami. To wtedy nabrał szacunku dla drugiego człowieka, niezależnie od jego pochodzenia i religii. A kiedy po kilkudziesięciu latach odwiedził rodzinne miasto, przyznał: „moja świadomość,

charakter i osobowość wyłaniały się w Polsce. Poprzez ten język, te realia i tych ludzi. Wracam zatem do źródeł”.

Uczniowie z Błędowa, Gąsocina i Górzna skłonili do zwierzeń swoje prababcie i pradziadków, doświadczonych drugą wojną światową i wczesnymi latami PRL-u, wysłuchali wspomnień swoich babć i dziadów, najstarszej cioci w rodzinie i najstarszego sąsiada. W ten sposób powstała niniejsza książka, napisana przez 54 uczniów, którzy przekonali się, że każdy starszy człowiek jest świadkiem historii, zapisanej w jego pamięci. Historii pokrywającej się z dziejami miejsca, a także z historią Polski, widzianą z perspektywy trzech gmin na Mazowszu.

Każda z przedstawionych w książce opowieści jest inna, tak jak oddzielny i indywidualny jest los każdego człowieka. Ale miejsce urodzenia i zamieszkania, nazywane często „małą ojczyzną”, łączy to, co indywidualne, z tym, co zbiorowe. We wszystkich przypadkach powracają wspólne dla całej społeczności wspomnienia biedy, głodu i strachu. Tak zapisał się w pamięci najstarszych czas drugiej wojny światowej. Codziennego nazistowskiego, niemieckiego terroru doświadczali na ogół mieszkańcy dużych miast, ale mieszkańcy wiosek zostali również naznaczeni, i to na całe życie, doświadczeniem wojennym. Z niejednego domu zniknęły młode kobiety i mężczyźni zabierani na przymusowe roboty do Niemiec, gospodarstwa były ogałacane przez okupanta z żywności, ledwo starczącej na wyżywienie z reguły wielodzietnych rodzin, a za hodowlę i ubój zwierząt domowych groziła kara śmierci. Żandarmeria wprowadzała się bezceremonialnie do co lepszych domów, w pobliskich lasach poszukiwała partyzantów, a zapewne także ukrywających się Żydów.

Wątek „innego” rzadko pojawia się we wspomnieniach, choć w tych okolicach mieszkała duża społeczność polskich Żydów. Przyjeżdżały tabory cygańskie, o których pamięć zachowała się tylko w jednym wspomnieniu. Podpowiada nam to włączenie tego tematu do przyszłych zajęć w Akademii. Mieszkanca gminy w Błędowie pamięta, że w jej rodzinie ukrywał się lekarz, pan Klajzler, któremu dwukrotnie udało się uniknąć niemieckiej obławy na dom jej kuzynów. Czy przeżył Zagładę – nie wiadomo, uczennica nie napisała. Z kolei uczeń z Gąsocina w swojej

rozmowie z dziadkiem skupił się na historii Basi, którą usłyszał w odpowiedzi na pytanie o niezwykle doświadczenie. To jedna z nielicznych opowieści wojennych ze szczęśliwym zakończeniem. Błąkającą się na ulicy sześciolletnią dziewczynkę żydowską przygarnął pradziadek ucznia i ukrywał przez rok, aż odnalazła ją ciocia. Dziadek, który także był wtedy dzieckiem, Basie traktował jak przybraną siostrę, nie mógł się pogodzić z rozstaniem. Obawiał się, że już nigdy jej nie zobaczy. Basia przeżyła i kilka lat później wraz z rodzicami odwiedziła ich rodzinę. Wszyscy płakali, pamięta. I podkreśla, że do dziś utrzymują kontakty.

Zakończenie drugiej wojny światowej przyniosło ulgę i nadzieję na bezpieczną i lepszą przyszłość, ale nie zmniejszyło trudów wiejskiego życia. Dziadkowie i babcie naszych rozmówców po przyjeździe piechotą ze szkoły, oddalonej o kilka kilometrów od domu, pracowali z rodzicami na gospodarstwie, kopali kartofle i buraki, pomagali przy żniwach, pasali krowy i gęsi. Wodę nosili ze studni, uprane ubrania płukali w rzece, a lekcje przez długie powojenne lata odrabiali przy świetle lampy naftowej. Spali w jednym łóżku z rodzeństwem, niektórzy w dzieciństwie nie znali smaku czekolady czy cukierków. Życie było ciężkie, ale – zapewniają – nikt się nie nudził. Atrakcją był dzień targowy w każdą środę w Garwolinie czy odpust w Górznie.

„Jestem taka, jak mnie wychowano – mówi jedna z najstarszych mieszkanki Górzna. – W szacunku do tego, kim kto jest, a nie kto co ma. I wolę tamte moje skromne czasy”. To refren większości opowieści. Czy dlatego, że byli młodzi i wszystko, co najlepsze, miało się dopiero zdarzyć? Pierwsze radio w domu, pierwszy telewizor we wsi, pierwsza pralka Frania i w końcu murowany dom? Mimo pustych półek w sklepach, zakupów na kartki większość mówi, że tęskni za tamtym czasem, ponieważ ludzie byli bliżej siebie. Spotykali się, rozmawiali, pomagali sobie. „Wszyscy byli uprzejmi, pożyczali sobie formy do chleba i naftę, gdy komuś zabrakło”.

Wspomnienia życia w PRL-u, którymi starsi podzielili się z uczniami, koncentrują się przede wszystkim na codziennym bytowaniu w rytm czterech pór roku, wyznaczających pracę w gospodarstwie lub w sadzie.

Z dala od polityki i przemian, które dokonywały się w Gdańsku czy niedalekiej przecież Warszawie. Nie było tam strajków, mało kto wspominał o Solidarności. „Życie na wsi toczyło się spokojniej i wolniej niż w miastach” – tłumaczy jeden z mieszkańców Gąsocina.

O stanie wojennym dziadek ucznia z Błędowa dowiedział się w drodze do Katowic, dokąd jechał sprzedać jabłka ze swojego sadu, kiedy zobaczył na obrzeżach miasta kolumny czołgów i skotów. Dzień później przestały działać telefony, radio i telewizja. „Prąd przywrócono rano 13 grudnia 1981 roku i wtedy w telewizji pojawił się generał Wojciech Jaruzelski, który stanął na czele Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Na wsiach zostały wyznaczone osoby do pilnowania godziny policyjnej, obowiązującej od 22:00 do 6:00 rano”.

Jako „ważny dla Polski” mieszkanka Gąsocina pamięta 1989 rok, w którym zniesiono ostatnie kartki na benzynę. Inny rozmówca z Gąsocina o pierwszych wolnych wyborach w dniu 4 czerwca dowiedział się z radia. „Od razu wsiadłem w samochód i pojechałem głosować”.

To tylko kilka przykładów zapisów z pamięci najstarszych mieszkańców, zebranych przez uczniów tegorocznej Akademii Młodego Obywatela. Historie młodości bohaterów tej książki, podobnie jak historia Jana Karskiego, pokazują, że niezależnie od czasów, w jakich się żyje, relacji z drugim człowiekiem uczymy się od dziecka w najbliższym otoczeniu. To, jak zwracamy się do siebie, jak traktujemy się w rodzinie i w swojej miejscowości, kształtuje wrażliwość i stosunki z ludźmi na całe życie. Wyniesiony z domu szacunek dla własnej historii i samego siebie, poczucie dumy i godności pozwalają nam traktować innych z respektem.

Młodzi ludzie z Błędowa, Gąsocina i Górzna, angażując się w ten projekt, poświęcili uwagę i czas najstarszym osobom w swoim otoczeniu. Te międzypokoleniowe spotkania i rozmowy zaowocowały już po raz kolejny nie tylko wspólną publikacją. Dzięki nim – przede wszystkim – zacieśniają się więzy między uczniami i „starszeństwem” z ich rodzinnych miejscowości. Łatwiej jest w naszych czasach zrozumieć, jak ważna jest historia i wspólnota, która tę historię razem tworzy.

Mam nadzieję, że wspomnienie o tych rozmowach pozostanie z Wami na całe życie. A tym, którzy przyjdą po Was, pomoże zrozumieć lepiej, kim są i skąd pochodzą. Z kolei my w Fundacji znajdujemy w Waszych relacjach cenne wskazówki, jak rozwijać Akademię Młodego Obywatela, aby warsztaty i zajęcia dla uczniów jeszcze bardziej przybliżyły jej młodym uczestnikom wartości, za którymi stoi nasz patron, Jan Karski.

Ewa Junczyk-Ziomecka

Prezes Zarządu Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego

„Żeby zakupić ślężę do opryskiwania sadu oraz pozostałe sprzęty potrzebne do pracy w gospodarstwie, trzeba było złożyć podanie do pierwszego sekretarza partii w Błędowie, który decydował, czy danemu gospodarzowi będzie potrzebny opryskiwacz i wszelki sprzęt”.

„W 1979 roku była zima stulecia, śnieg był tak duży, że nie jeździły żadne samochody, nawet koń z saniami nie był w stanie przebić się przez zaspę”.

„Gdy zaczynała się wojna, byłam jeszcze bardzo małą dziewczynką. Po jakimś czasie zapomniałam, jak wygląda moja mama. Kiedy przyjechała do nas ciocia, której wcześniej nie widziałam, myślałam, że to mama”.

„Kiedyś byliśmy wszyscy bliżej siebie, rodzina, a nawet sąsiedzi”.

„W mieszkaniu stał kufer, w którym pan Klajzler się schował. Gdy Niemcy weszli do domu, szukali go wszędzie, ale nie kazali nam zejść z kufra”.

Błędów

„W okolicach Radomia były naloty i zbliżały się do nas, więc uciekliśmy pod las do małego domku. Kiedy już tam byliśmy, mama schowała mnie do pieca, a sama uciekła, reszta rodziny także się ukryła w domku”.

„Moi dziadkowie podawali mnie do chrztu świętego, ponieważ był przesąd, że gdy dwoje pierwszych dzieci umrze, to wtedy babcia i dziadek muszą podać trzecie dziecko do sakramentu, wtedy będzie się chowało”.

„Lekcje odrabiałem przy lampie naftowej, ponieważ za moich czasów nie było prądu”.

„Gdy miałem trzy lata, pamiętam, jak zza desek obserwowałem niemiecką łapankę”.

„Po powrocie ze szkoły każdy miał swoje obowiązki, np. pomoc rodzicom przy wykopie ziemniaków, buraków. Trzeba też było opiekować się młodszym rodzeństwem”.

„W czasie wojny nasza szkoła się spaliła”.

Powrót do dzieciństwa

Natalia Bator, klasa VII b

– historia brata dziadka Mirona Batora

Urodziłem się 7 lutego 1949 roku. Wychowywałem się z dwoma młodszymi braćmi. Od dziecka pomagałem rodzicom na polu wraz z rodzeństwem. Bardzo to lubiłem. Wiązałem z tym swoją przyszłość. Z braćmi dogadywałem się całkiem nieźle, choć z najmłodszym czasem się kłóciliśmy, jak to rodzeństwo.

Gdy byłem młodszy, wszystko wyglądało inaczej. Jedzenie i inne rzeczy były na kartki. Mogłeś kupić tylko określoną ilość produktów. Lekcje odrabiałem przy lampie naftowej, ponieważ za moich czasów nie było prądu. Mieliśmy dwa psy, a także zwierzęta hodowlane, takie jak świnię czy krowy. Lubiałem się nimi opiekować, choć bardziej przypadano mi do gustu sianie zboża. Miałem także konie, które przydawały się w polu. W dzisiejszych czasach są one zastąpione ciągnikami. Kiedyś były dużo zimniejsze zimy. Czasem kiedy wracałem ze szkoły do domu, mocno zmarzłem. Padało bardzo dużo śniegu. Ledwo co szedłem. Grałem w piłkę z kolegami, ale od tego dużo bardziej wolałem hokeja. Gdy przychodziła zima, pędziłem z przyjaciółmi na zamrzniętą sadzawkę w niego grać. Braliśmy kije i małą piłeczkę. Raz grając, lód się załamał pod moją i wpadłem po pas. Przy pomocy znajomych w końcu się wygramoliłem. Było tak zimno, że moje mokre spodnie zamarły na kamień. Były tak sztywne, że ledwo szedłem. Czym prędzej pobiegłem do domu się ogrzać. Uwielbiałem siadać na lepce. Było przyjemnie czuć, że siedzi się na czymś ciepłym. Lepka było to siedzenie zbudowane z kafli koło pieca, dzięki któremu się nagrzewało. Niestety, teraz już takich nie stawiają.

Drugą historią, która zapadła mi w pamięć, była gra w piłkę. W pewnym momencie kopnąłem ją tak mocno, że wpadła na słomiany dach stodoły. Gdy już się zdołałem wdrapać po nią, spadłem. Upadłem na plecy. Nie mogłem się ruszyć, do tego ledwo oddychałem. Rodziców nie

było w domu. Na ratunek zjawił się mój młodszy brat. Pomógł mi usiąść. Usłyszawszy, że rodzice właśnie przyjechali, ukrył mnie, żebym nie miał problemów przez tę sytuację. Na szczęście skończyło się to dobrze, choć niezłego strachu się najadłem, kiedy po upadku nie mogłem się ruszyć. Później jeszcze przez kilka dni chodziłem obolały.

Sad moich rodziców

Kinga Boroń, klasa VII a

– historia dziadka Jerzego Lesiaka

Urodziłem się w 1953 roku. Od urodzenia mieszkałem z rodzicami w Hucie Błędowskiej. Nasz dom był duży, murowany, a dach był pokryty blachą.

Do szkoły podstawowej chodziłem w Pelinowie. Było tam osiem klas. We wcześniejszych latach szkoła była mała i drewniana, posiadała tylko cztery klasy. Moja mama chodziła do tej szkoły przez cztery lata, a następnie do Błędowa, gdzie były klasy od czwartej do ósmej. W mojej klasie było coś koło 30 osób. Chodziłem do szkoły na pieszo, ponieważ miałem do niej tylko dwa kilometry. W zimę rodzice ze wsi wyznaczali sobie dyżury i zbierali wszystkie dzieci, po czym zawozili nas do szkoły wielkimi saniami. Wtedy zimy były bardzo srogie, np. temperatura wynosiła poniżej -20 stopni oraz padało bardzo dużo śniegu.

W naszym gospodarstwie przeważały sady jabłoniowe, mieliśmy także konia, krowę i kury. Koń służył nam jako siła pociągowa. W tamtych czasach nie było ciągników, ponieważ były niedostępne dla zwykłych gospodarzy. Maszyny rolnicze były wynajmowane z kółka rolniczego¹ z Błędowa, ale tylko na zamówienie. Pracownicy spółdzielni pryskali nam sady, ponieważ w tamtych czasach gospodarze nie mieli odpowiedniego sprzętu. Były także opryskiwacze zakładane na konia, lecz nie spełniały swojej funkcji i były mało przydatne do pracy. W miarę upływu czasu zaczęto sprowadzać ciągniki z zagranicy, głównie z Czechosłowacji i Rosji. W tamtych czasach było bardzo trudno nabyć ciągnik na własność. Pierwszy ciągnik pojawił się w naszym gospodarstwie, kiedy miałem około 20 lat. Po ciężkich staraniach udało nam się kupić czeski ciągnik

¹ Kółka rolnicze – lokalne stowarzyszenia organizacji rolników w celu niesienia sobie wzajemnej pomocy. W okresie PRL-u miejsca wynajmowania sprzętu rolniczego.

marki Zetor. Żeby kupić ślężę¹ do opryskiwania sadu oraz pozostałe sprzęty potrzebne do pracy w gospodarstwie, trzeba było złożyć podanie do pierwszego sekretarza partii w Błędowie, który decydował, czy danemu gospodarzowi będzie potrzebny opryskiwacz i wszelki sprzęt rolniczy, np. siewkę dostawało się na dwóch gospodarzy. Po jakimś czasie zaczęto przybywać ciągników, a kółka rolnicze miały coraz mniej zamówień. Przez to najczęściej się rozpadały. W Hucie było już bardzo dużo sadów, przez co zaczęło się rozwijać sadownictwo. W Skowronkach były szkółki, z których ludzie wykupywali drzewka. Jabłka były sprzedawane w komis do Łodzi. Towar był wywożony samochodami ciężarowymi, które były pozostałościami po niemieckiej armii. Moi rodzice taki mieli, lecz były z nim wielkie problemy, np. z zarejestrowaniem. Jeden taki samochód przypadał na pięciu-sześciu gospodarzy.

Z opowiadań starszych ludzi pamiętam, że największa bitwa w mojej okolicy rozegrała się w lesie w Brzustowcu. Rozbiły się tam dwie armie: niemiecka i rosyjska. Pierwsze starcie wygrali Niemcy, lecz drugiego dnia armia rosyjska wspierana samolotami rozbiła armię niemiecką i zmusiła ją do ucieczki. Po bitwie ludzie, którzy poszli do tego lasu, opowiadali, że ludzkie ciała leżały na drzewach. Jeden niemiecki czołg podczas ucieczki wjechał w Wólce Gostomskiej na teren, gdzie były stawy. Wcześniej spuszczone z nich wodę, ale niestety teren był torfowy i pod ciężarem pojazdu utonął w tzw. bagnie i było widać potem tylko kawałek lufy. Nie wiadomo, czy żołnierze znajdujący się w czołgu przeżyli. Znajdował się tam do lat 70., kiedy to władze postanowiły go wyciągnąć. Przyjechały ogromne samochody na gąsienicach z linami, wyciągnęli go z wody i przekazali do muzeum jako zabytek.

Pamiętam również opowieści taty o przemarszu wojsk rosyjskich wraz z czołgami przez Trzylatków koło Błędowa. Kierowały się na Warszawę. Trwało to przez trzy-cztery dni i wyglądało jak fala powodziowa, w której jechał jeden ciąg czołgów, jeden za drugim. Armia rosyjska liczyła wtedy około czterech milionów ludzi. Była również sytuacja,

1 Ślęża – opryskiwacz sadowniczy.

kiedy rosyjskie wojska strzelały spod Błędowa na odległość około 15–20 kilometrów, bo dostały donos, że znajduje się tam niemiecka armia. Po paru godzinach atak ucichł, gdyż okazało się, że był to fałszywy alarm.

Do liceum chodziłem do Nowego Miasta. Dojeżdżałem autobusem, ale jeden rok byłem w internacie¹. Po skończeniu liceum odbyłem dwuletnią służbę wojskową, ponieważ w tamtych czasach było to obowiązkowe. Byłem w jednostce Warszawa Praga-Północ. Dostałem się do sekcji samochodowej. Żołnierze byli z różnych stron Polski, np. z Krakowa, Kielc, a nawet z Zakopanego. Niektórzy byli pierwszy raz w Warszawie, przez co mieli utrudnione zadanie w jeździe po Warszawie jako kierowcy, gdyż nie znali ulic. Jednostka potrzebowała aż 60 żołnierzy do kierowania karetką, ale tylko 14 osób nadawało się na kierowców, w tym ja. Warszawa była wtedy o wiele mniejsza, nie było tylu mostów co teraz. Praga była wtedy jeszcze nieodbudowana po wojnie, stało wiele ruin, które nie zostały doszczętnie zniszczone, pozostała część miasta była już odbudowana i pręźnie się rozwijała.

Po służbie wróciłem do rodzinnego domu i razem z rodzicami prowadziłem gospodarstwo sadownicze.

W 1979 roku była zima stulecia, śnieg był tak duży, że nie jeździły żadne samochody, nawet koń z saniami nie był w stanie przebić się przez zasy. Na pieszo chodziliśmy aż sześć kilometrów do Błędowa, żeby kupić chleb.

Pamiętam bardzo dobrze stan wojenny, który został ogłoszony 13 grudnia 1981 roku. 11 grudnia jechałem do Katowic handlować jabłkami. Za Katowicami stały kolumny czołgów i skotów. Były przygotowane na wjechanie do miasta, ponieważ wiedzieli, że będzie ogłoszony stan wojenny. W nocy 12 grudnia, wracając z rynku, zastanawiałem się, dlaczego wszędzie jest pogaszone światło, nie działały telefony, radio, telewizor. Rano 13 grudnia włączyli prąd i wtedy usłyszeliśmy w telewizji informację, że został wprowadzony stan wojenny, ogłoszony przez Wojciecha Jaruzelskiego na Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego.

1 Internat – miejsce zamieszkania dla dzieci i młodzieży uczącej się poza domem.

Na wsiach zostały wyznaczone osoby do pilnowania, które musiały pełnić wartę od 22:00 do 6:00 rano. W tamtych czasach było ciężko kupić jedzenie, ponieważ było ono sprzedawane tylko za kartki żywnościowe, które raz w miesiącu rozdawał sołtys. Na półkach sklepowych był tylko do kupienia ocet. W większych miastach były sklepy Pewex¹, w których za dolary można było kupić towary z zagranicy, tj. papierosy, stodycze, futra, alkohole i odzież. Handel dolarami był wtedy surowo zabroniony, można było za to pójść do więzienia. Od 1986 roku zaczęło się już poprawiać politycznie, dlatego było już łatwiej zdobyć materiały budowlane, dzięki którym zbudowaliśmy przechowalnię z komorami na jabłka.

Już od ponad 30 lat jestem strażakiem w Błędowie. Przystąpiłem tam za namową swojego kolegi. Spełniłem swoje największe marzenie dzieciństwa – zostanie strażakiem. Jednym z najbardziej zapamiętanych wydarzeń z życia strażaka to przyjazd do Błędowa biskupa Józefa Glempa, który przybył do naszej parafii na bierzmowanie młodzieży i przy tej okazji zwiedził naszą remizę oraz zobaczył nasze ogromne zaangażowanie w życie Kościoła.

Pamiętam także uroczystość przekazania nowego sztandaru, na którą przyjechał biskup Sławoj Leszek Głódź.



Pamiątkowe zdjęcie z wizyty biskupa Józefa Glempa.



Przekazanie nowego sztandaru podczas wizyty biskupa Sławoja Leszka Głódzia.

1 Pewex – Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrzny. Firma państwowa zarządzająca siecią sklepów uchodzących za luksusowe, w których można było kupić za obcą walutę głównie towary importowane z zagranicy. W Polsce było około 840 sklepów Pewex.

Kiedyś wszyscy byliśmy bliżej siebie

Piotr Duch, klasa VII a

– historia sąsiadki, pani Marii

Nazywam się Maria i mieszkam w Dańkowie w gminie Błędów. Urodziłam się w 1936 roku pod Nowym Miastem nad Pilicą, ale moi rodzice postanowili zamieszkać w Warszawie. Tam też mieszkaliśmy do 1939 roku, a przynajmniej ja. Tata nie chciał opuszczać naszego domu, ale mama postanowiła zabrać mnie i mojego brata na wieś, do dziadków. Tu, do Dańkowa. Zostawiła nas pod opieką dziadków, a sama wróciła do taty, do Warszawy.

U nas na wsi było spokojnie. Nie odczuwaliśmy, że jest wojna, ale moi rodzice w stolicy już tak. Zostali zabrani przez wojska niemieckie do Pruszkowa, gdzie ich rozdzielono. Nie tylko moich rodziców, ale wszystkich ludzi, którzy tam byli. Kobiety i dzieci po jednej stronie, a mężczyźni po drugiej. Byli oddzieleni od siebie drutem kolczastym, żeby nie mogli się spotykać. Był to obóz przejściowy. Niemcy decydowali tam, kto nadaje się do pracy, a kto nie. Moją mamę zabrali na roboty do Niemiec. Tata miał więcej szczęścia.

Kiedyś się poparzył i miał ślady. Niemcy uznali, że jest chory i nie nadaje się do pracy. Nie pamiętam, jak udało mu się opuścić obóz, ale potem dostał się do Czerwonego Krzyża. Przy pomocy różnych życzliwych osób tacie udało się dostać do nas, do Dańkowa. Wędrował pieszo nocami. Mama trafiła do obozu. Mieszkała wraz z innymi kobietami w baraku. Było bardzo ciężko, ale wszyscy sobie tam pomagali. Jak dostały kawę, zlewały ją razem i myły w tym głowę. Komu udawało się coś zdobyć, dzielił się tym z innymi. Kiedyś do obozu przyjechał niemiecki gospodarz, tzw. bauer, i zabrał mamę do swojego gospodarstwa do pracy. Tam miała już dobrze. Dostała swój pokój, spała na pierzynie, drugą się nakrywała. Przed snem przynoszono jej baniaki kamienne, które dawały ciepło. Posiłki jadła razem z innymi. Nie potrafiła mówić

po niemiecku ani nie rozumiała tego języka, ale był tam mężczyzna już od dłuższego czasu, rozumiał niemiecki i gdy się zapoznali, wszystko mamie tłumaczył. Po wyzwoleniu wydano rozporządzenie, że ludzie mogli wyjechać, dokąd chcą. Do dowolnego państwa, ale mama chciała wrócić do Polski, do nas.

Gdy zaczynała się wojna, byłam jeszcze bardzo małą dziewczynką. Po jakimś czasie zapomniałam, jak wygląda moja mama. Kiedy przyjechała do nas ciocia, której wcześniej nie widziałam, myślałam, że to mama.

W Dańkowie czuliśmy się bezpiecznie. Tu wojna nie dawała o sobie za bardzo znać. Okupacja trwała, ale my żyliśmy pomału i dość spokojnie. Tata po powrocie zaczął pracować w miejscowej gorzelnii. W Dańkowie jest dworek, który miał wielu właścicieli. Do 1940 roku właścicielami byli Wolscy, ale władze okupacyjne przejęły majątek, a z właścicieli zrobili tylko zarządców.

Nie dochodziło w Dańkowie do żadnych walk, jedynie wojsko przechodziło tędy. W miejscu, gdzie teraz jest hydrofornia, była łąka, na której spali. Jednak byli i tacy, którzy chcieli nocować w domach, dla własnej wygody. Stacjonowali także w pobliskiej wsi, w Wilhelmwie.

Z opowieści mamy wiem, że niemal wszystkie budynki w Dańkowie wybudowano jeszcze za czasów dworskich. Mieszkali tu Polacy i Żydzi. Niestety, nie wiem, co się z nimi stało.

Po wyzwoleniu, w 1945 roku powstał PGR¹ w Dańkowie. Ludzie mieli w nim pracę. Moja mama po powrocie też zatrudniła się w PGR-ze. Ręk do pracy potrzebowano wiele. Dlatego też nie tylko okoliczni ludzie tu pracowali. Z innych miejscowości również przyjeżdżali do pracy. Zbudowano początkowo świetlicę, w której było tylko radio. Założono ZMP (Związek Młodzieży Polskiej), ale nie trwało to długo, ponieważ nie mieli dobrego organizatora i wszystko się po prostu rozmyło.

Mogliśmy jeszcze wrócić do Warszawy, ale tata i mama już nie chcieli. Tu była nasza rodzina ze strony taty i mamy. Mieliśmy też przyjaciół.

1 PGR – Państwowe Gospodarstwa Rolne. Właścicielem ziemi i pracodawcą było państwo. Forma własności ziemskiej i produkcyjnej funkcjonująca w Polsce w latach 1948–1993. Tuż przed likwidacją w latach 90. w Polsce funkcjonowało ponad 1600 PGR-ów.

Jako dzieci dużo czasu spędzaliśmy na dworze. Bawiliśmy się w piasku na drodze, bo wtedy nie było jeszcze szosy. Tu też poszłam do szkoły, która była niedaleko, w Głównicy. Na początek roku wszyscy szliśmy do kościoła do Mogielnicy. Musieliśmy pokonać pieszo sześć kilometrów. Pamiętam, że mieliśmy nauczycielkę religii, z której trochę się śmialiśmy, a gdy się zorientowała, dostaliśmy karę. Musieliśmy napisać 50 razy „Zdrowaś Mario”. Były to inne czasy, w szkole niezbyt się uważało, a w domu się nie uczyliśmy. Mnie jednak dopisywało szczęście. Gdy zostałam wywołana do odpowiedzi, to zawsze wiedziałam. Kiedyś nie przywiązywano aż tak dużej uwagi do tego, żeby dziecko zdobywało wiedzę w szkole. Chodziło raczej o przyuczenie do zawodu. Ja uczyłam się na krawcową. Sporo umiałam, ale nie pracowałam w tym zawodzie.

W Dańkowie stała szopa strażacka, w której odbywały się potańcówki. Gdy byliśmy już starsi, nasz kierownik (ówczesny dyrektor) zabraniał nam tam chodzić. Mogliśmy tam chodzić tylko z rodzicami, i to nie za długo. Jeśli zostaliśmy sami, on zawsze jakoś się dowiedział i następnego dnia musieliśmy się tłumaczyć. Później powstała świetlica i klub dla młodzieży, ale młodsze dzieci, zawsze ciekawskie, podchodziły choćby do okien i podpatrywały, co się tam działo.

Tu w Dańkowie nie odczuwaliśmy zbytnio tego, co działo się w kraju i na świecie. Byliśmy i nadal jesteśmy małą osadą, gdzie życie płynęło powoli i dość spokojnie. Przeżyłam wojnę, wyszłam za męża, mam dzieci. Mijają lata, wszystko się zmienia, ale u nas jakby czas się zatrzymał. W miarę upływu lat tu też następowały zmiany. Najpierw okupacja, potem komunizm, życie „na kartki”, a w końcu Solidarność. Ale to wszystko obchodziło się dość delikatnie z Dańkowem. Wprawdzie my też doświadczaliśmy różnych zmian, ale nie były one bardzo drastyczne, jak np. elektryczność. Wiele miejscowości nie miało jej jeszcze, a my mieliśmy z gorzelnii. Dopiero później z elektrowni. Drogi były piaskowe lub brukowe, a potem położono asfalt. Dostawiono bloki. Powstał sklep. Lecz wszystko postępowało powoli i łagodnie. U nas zawsze czas płynął wolniej. Niestety, ludzie zaczęli się zmieniać. Kiedyś byliśmy wszyscy bliżej siebie, rodzina, a nawet sąsiedzi. Każdy miał czas, żeby

z sobą porozmawiać albo chociaż posiedzieć razem. Najlepiej z obiadem w ręku na ławeczce przed domem. Ludzie szukali większego kontaktu z sobą niż teraz.

Młodzi ludzie nie chcą już słuchać opowieści seniorów o dawnym życiu. A powinni, ponieważ oni mają nam wiele do przekazania bardzo ciekawych historii.

Miałem diabła za plecami

Małgorzata Fatkowska, klasa VII b

– historia pana Kazimierza

Urodziłem się w 1937 roku w Krasnymstawie. Razem z moimi braćmi, rodzicami, dziadkami oraz z rodziną mojego wujka mieszkaliśmy w niewielkim domu. Mój ojciec był stelmachem¹, zajmował się wyrobem wozów konnych, a na co dzień był rolnikiem. Mama zajmowała się domem. Na obiad gotowała kopytkę, kapuśniak i kaszę gryczaną na mleku. Gdy miałem trzy lata, pamiętam, jak zza desek obserwowałem niemiecką łapankę. Niemieccy żołnierze porywali przypadkowych ludzi np. do obozów koncentracyjnych.

Wodę czerpaliśmy z małego stoku z rzeki płynącej nieopodal. Mieliliśmy pole ze zbożem. W dzieciństwie bawiliśmy się w szczypiorniaka², czyli rzut piłką, oraz wyścigi z fajerką na drucie.

Do szkoły poszedłem w wieku sześciu lat, ale dyrektor nie chciał mnie przyjąć w tym wieku, bo – jak stwierdził – mam diabła za plecami i wystaje mi ogon, a ja powiedziałem, że mi pasek oderwał się od marynarki. Roześmiał się i mnie przyjął. Musieliśmy obowiązkowo uczyć się języka niemieckiego, dopiero po wojnie został on usunięty. W ławkach były specjalne otwory na kałamarz z atramentem do pisania piórem.

Naszą miejscowość okupowali Niemcy. Pobierali oni przymusowy kontyngent, za który płacili wódką. Wszyscy mieli jej dużo i wymieniali na inne produkty. U nas w domu kwaterowali oficerowie, zażądali od mamy mąki i jajek w zamian za trudno dostępny cukier. Mój tata trzymał karabin pod łóżkiem, ponieważ należał do Batalionów Chłopskich.

Po szkole podstawowej poszedłem do liceum, gdzie uczyłem się łaciny. Następnie skończyłem dwuletnie studium nauczycielskie. Wstąpiłem

1 Stelmach – rzemieślnik zajmujący się wyrobem drewnianych wozów i kół.

2 Szcypiorniak – dawna nazwa gry w piłkę ręczną.

do wojska. W 1959 roku przeprowadziłem się do Błędowa w poszukiwaniu pracy. Zostałem nauczycielem. Ukończyłem studia matematyczne w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie.

Najgorzej było, kiedy przechodziła burza

Marta Kawęczyńska, klasa VII a, Oliwia Kaczor, klasa VII b
– historia dziadka Marty, Józefa Słomińskiego

Nazywam się Józef Słomiński, urodziłem się 1 marca w 1937 roku. W naszym domu znajdowało się jedno pomieszczenie, wchodziło się od razu do kuchni i tam spaliśmy. Razem z rodzicami było nas ośmioro. Dwoje starszego mojego rodzeństwa zmarło. Moi dziadkowie podawali mnie do chrztu świętego, ponieważ był przesąd, że gdy dwoje pierwszych dzieci umrze, to wtedy babcia i dziadek muszą podać trzecie dziecko do sakramentu, wtedy będzie się chowało.

Mieliśmy świnie, króle, krowy, konia, gęsi i kury. Wstawałem rano i dawałem zwierzętom jeść, pastem bydło. Codziennie wieczorem nosiłem dziewięć wiader wody dla konia i krów.

Miałem trzy lata, gdy wybuchła druga wojna światowa. Mój dziadek był sołtysem we wsi, a mój tata należał do partii, tylko nie pamiętam do jakiej. Na bielańskich polach Niemcy zastrzelili około dziewięciu zajęcy i przynieśli do mojego ojca, który przybił do belki gwoździe i powiesił je na kantówce¹, a potem zawiózł koniem do Błędowa. A dwa-trzy lata później w nocy zaczęły błyskać pociski, przyjechali Niemcy i powiedzieli, że frontu już nie będzie, bo szedł z Warki. W Bielanach, w PGE, były wykopane trzy linie okopów z Kozietuł do samego Błędowa. Cały sztab mieścił się w Bielanach w pałacu. Wojska rosyjskie zobaczyły tablice niemieckie i zaatakowały. Ich wóz został na polu, a reszta Niemców została zakwaterowana w Bielanach u Ryłskiego. Zrobili sobie kolację. Było siedem powozów i konie. Później dwóch rosyjskich żołnierzy weszło do Niemców, w nocy zaczęli strzelać, nikogo nie zabili, ale przestraszeni

1 Kantówka – to rodzaj prostej, surowej deski drewnianej, która jest używana w budownictwie.

Niemcy puciekali w koszulach okopami. Na drugi dzień ukradliśmy im plecaki, kule i zapalniki i wzięliśmy je do domu. W Błędowie spalili jeden czołg, który przez dłuższy czas potem stał na środku wsi.

Dopiero po wojnie zacząłem się uczyć w szkole, pierwsza klasa trwała tylko dwa miesiące, a później poszedłem do drugiej klasy. Były dwie klasy, A i B, każda po 30 osób. Odrabiałem lekcję przy lampie naftowej. Gdy miałem siedem lat, zacząłem grać na harmonii, ale na początku nosili mi ją starsi koledzy, ponieważ była dla mnie za ciężka.

Gdy miałem dziewięć lat przewróciłem się o obrzynki, które spadły mi na plecy, i poleciałem na nogę, i wtedy ją zламаłem. Leżałem sześć tygodni w łóżku. Mój tato stawiał nowy dom, musieliśmy przenosić ze starego budynku do stodoły meble i inne rzeczy. Spaliliśmy w szopie na łóżkach przez całe lato, ale czasami sypialiśmy na sianie. Najgorzej było, kiedy przechodziła burza, ponieważ było wtedy bardzo jasno i się wszyscy budzili.



Józef Stomiński z harmonią z kolegą z wojska.



Józef Stomiński (na kolanach, w białym ubranku) i jego rodzina.

Marynarz

Jakub Kępka, klasa VII a

– historia dziadka Stanisława Kępki

Ja, Stanisław Kępka, urodziłem się 12 listopada 1942 roku we wsi Śmiechówek w gminie Błędów. Mam dwie siostry.

W wieku siedmiu lat poszedłem do szkoły podstawowej w Załuskach. Uczyłem się do piątej klasy, bo tylko tyle było. Dalszą naukę kontynuowałem w Błędowie do końca szkoły podstawowej. Po jej ukończeniu pomagałem rodzicom w gospodarstwie do czasu pójścia do wojska. Pomagałem rodzicom w obowiązkach związanych z karmieniem krów, świń, kur, kaczek. Rodzice w polu siali zboża, brukiew, sadzili ziemniaki, bo wtedy nie było sadów owocowych.

W wieku 20 lat zostałem powołany do marynarki wojennej. Najpierw służyłem w Kołobrzegu, Helu i Gdyni. Pływałem w bardzo trudnych warunkach. Przez te trzy lata byłem na morzu. Bałem się sztormu i wicher. Pływałem na okręcie ORP¹ Dzik. Służba na tej jednostce była bardzo trudna, byliśmy zakwaterowani na tym okręcie. Po wyjściu z wojska nadal pracowałem w gospodarstwie. W 1969 roku ożeniłem się i w tym czasie miałem odpisaną ziemię², na której zasadziłem sad.

Jako młody człowiek miałem swoje przeżycia. Rodzice mi zmarli jedno po drugim w ciągu czterech miesięcy. Urodziło mi się dwoje dzieci – syn i córka. Wychowywałem je. Po latach dzieci dorosły i się usamodzielnili. Gospodarstwo sadownicze odpisałem synowi i gospodarzy na nim do dzisiaj.

W domu mam dwóch wnuczków, poza domem też mam dwoje. Po przejściu na emeryturę mam wolny czas. Trochę zajmuję się wnuczkami, chodzę do lasu na grzyby. W tej chwili mam 78 lat.

1 ORP – Okręt Rzeczypospolitej Polskiej.

2 Odpisać ziemię – przekazać gospodarstwo rolne osobie bliskiej.

Tamte czasy są dla mnie złym wspomnieniem

Oliwia Kołacz, klasa VII a

– historia sąsiadki pani Leokadii Czywil

Nazywam się Leokadia Czywil. Urodziłam się 6 stycznia 1940 roku. Był to początek drugiej wojny światowej. Niewiele z tej wojny pamiętam, ponieważ byłam dzieckiem, ale pamiętam opowieści swoich rodziców: Heleny i Stanisława Binkiewiczów, oraz innych starszych osób. Miałam też trzech braci: Stefana, Franciszka i Wiesława. W tamtych czasach było bardzo trudno i brakowało dosłownie wszystkiego: ubrań, obuwia, jedzenia, nawet środków higieny. Kobiety robiły same mydło do kąpieli. Prano ubrania i pościel w stawach i wygotowywano białą odzież w baniach. Wszystko było bardzo pracochłonne. Wieś była strasznie uboga, drewniane domy były kryte słomą.

Pamiętam swoje pierwsze spotkanie z niemieckimi żołnierzami, przyszło ich dwóch. Jeden z nich chciał pocałować moją mamusię, lecz ona powiedziała, że ma męża, więc odeszli, nie robiąc nam żadnej krzywdy. U kuzynów moich rodziców ukrywał się pewien Żyd – nazywał się Klajzler. Któregoś dnia Niemcy zrobili u nich obławę. W tym czasie mój tatuś był właśnie u tych krewnych. Szukali Żyda w stodole, uderzając w siano bagnetami. Lekko go wtedy ranili, ale nie znaleźli. Za drugim razem nie zdążył uciec z domu. W mieszkaniu stał kufer, w którym pan Klajzler się schował. Gdy Niemcy weszli do domu, szukali go wszędzie, ale nie kazali nam zejść z kufra. Bardzo lubiłam rozmawiać z panem Klajzlerem, był on bardzo dobrze wykształconym lekarzem.

Gdy skończyłam siedem lat, zaczęłam naukę w szkole podstawowej w Zalesiu. Uczyli mnie państwo Górcy, nauczyłam się też gry na skrzypcach i należałam do dziecięcej orkiestry. W latach 50. wszyscy mieli pracę, lecz był pewien problem – ludzie bardzo mało zarabiali.

Przez to nie mieli jedzenia, picia ani innych środków do życia. Tamte czasy są dla mnie złym wspomnieniem, każdy głodował. W późniejszych latach zdobyłam wykształcenie jako technik farmaceuta. Po ukończeniu szkoły wyjechałam do Karlina i pracowałam w aptece. Tam poznałam swojego przyszłego męża – Jana Czywila. Wróciliśmy już razem do Jakubowa. Urodziłam troje dzieci.

Do 2010 roku pracowałam cały czas w aptece, bardzo lubiłam swoją pracę. Dziś mam 80 lat i jestem na emeryturze. Mam siedmioro wnucząt i czworo prawnucząt.

Wstawałam o czwartej rano, żeby piec chleb

Blanka Oziemska, klasa VII b
– historia prababci Krystyny Mydłowskiej

Nazywam się Krystyna Mydłowska. Mam 88 lat. Urodziłam się 4 marca 1932 roku. Od urodzenia do dzisiaj mieszkam w Lipiu. Miałam czworo rodzeństwa: brata Stefana, siedem lat starszego ode mnie, siostrę Henię, dwa lata starszą, i dwóch braci bliźniaków – Jana i Stasia, cztery lata młodszych. Henia zmarła w czasie wojny w wieku 12 lat.

Kiedy byłam dzieckiem, nie było elektryczności. Nie mieliśmy radia ani telewizji. Potem dopiero pojawiły się radia na słuchawki. Prace domowe odrabialiśmy w świetle lamp naftowych lub karbidowych¹. Czas wolny spędzaliśmy przeważnie na podwórku. Nie mieliśmy zabawek, więc nie lubiliśmy siedzieć w domu. W okolicy mieszkało bardzo dużo dzieci – zdecydowanie więcej niż teraz. Wspólnie graliśmy w dwa ognie, klasy, piłkę, grę o nazwie „dziesiątki”². Chłopcy urządzali sobie zawody w bieganiu z fajerkami³. Bawili się w żołnierzy, maszerowali drogą i śpiewali piosenki. Nie zawsze byliśmy grzeczni. Psociliśmy, oczywiście.

Mieliśmy po kilkanaście lat, a już musieliśmy pracować. Po powrocie ze szkoły każdy miał swoje obowiązki, np. pomoc rodzicom przy wykopie ziemniaków, buraków. Trzeba też było opiekować się młodszym rodzeństwem. Jak miałam 14 lat, to pod nadzorem mamy – ale

1 Lampa karbidowa – typ lampy gazowej, w której jako paliwa używa się acetylenu. Acetylen uzyskiwany fabrycznie stosowano w latarniach ulicznych w Polsce w drugiej połowie XIX wieku.

2 Zabawa w dziesiątki – gra w gumę. W dziesiątkach skacze się po kolei dziesięć figur. Jeżeli ktoś przejedzie wszystkie figury, skacząc przez gumę zawieszoną na wysokości kostek, wtedy podwyższa się ją na wysokość kolan, a następnie bioder.

3 Fajerki – okrągłe metalowe obręcze od kaflowych kuchni i pieców.

już sama – piekłam chleb. Chętnie wstawałam nawet o czwartej rano, żeby tylko móc to robić.

Domy, w których mieszkali dawniej ludzie, były drewniane. Dachy były pokryte słomą. Zdarzało się, że na podłodze nie było desek. W niektórych domach tylko część podłogi była drewniana. Pozostała część – to była ziemia. Ściany były obielone wapnem. Mieszkania mieliśmy wyposażone w najpotrzebniejsze meble, np. łóżko, szafę, stół i krzesła.

Podstawowym środkiem transportu był wóz z koniem. W naszej wiosce mieliśmy jeden sklep. Można tam było kupić wszystkie najpotrzebniejsze produkty, tzw. mydło i powidło. W pobliżu był też młyn.

W naszej miejscowości nie odczuwaliśmy, że jest wojna. Życie toczyło się raczej zwyczajnie. Niemcy, którzy przebywali w sąsiedztwie, nie byli wrogo do nas nastawieni. Opowiadali, że tęsknią za rodziną, dziećmi. Zdarzało się, że przejeżdżało przez wieś wojsko lub bardzo nisko latały samoloty. Wtedy się baliśmy.

W czasie wojny nasza szkoła się spaliła. Zanim ją odbudowano, uczyliśmy się w różnych miejscach w okolicy i sąsiednich miejscowościach. Trzeba było chodzić tam pieszo. Było to kilka kilometrów.

Myślę, że dzisiejszej młodzieży żyje się zdecydowanie łatwiej. Ma mniej obowiązków, a więcej przyjemności.

Ludzie pomagali sobie i wspierali się, jak tylko mogli

Julia Plaskota, Anna Nowakowska, klasa VII a
– historia babci Julii, Marii Plaskoty

Mam na imię Maria. Urodziłam się w 1939 roku. Byłam najmłodsza z rodzeństwa, najstarszy był Jan, młodszy od niego był Józef. Miałam miesiąc, kiedy zaczęła się wojna, pamiętam tylko jej koniec i okres powojenny. Mój dom stał obok szkoły, a w szkole zakwaterowali się Niemcy, w jednym z pokoi naszego domu był niemiecki magazyn i okienko, przez które były podawane produkty. Historie z wojny pamiętam dwie. Pierwsza z nich jest o ucieczce. W okolicach Radomia były naloty i zbliżały się do nas, więc uciekliśmy pod las do małego domku. Kiedy już tam byliśmy, mama schowała mnie do pieca, a sama uciekła, reszta rodziny także się ukryła w domku.

Druga historia jest o samolocie. Kiedy spod lasu wróciliśmy do domu, to po jakimś czasie znowu musieliśmy uciekać, lecz w czasie ucieczki samolot, który nad nami przelatywał, zniżył się do takiego poziomu, że wystawiając dwa koła zahaczył o hałdę ziemi, która nas przykryła. Wydostaliśmy się spod niej w bardzo krótkim czasie, ale stwierdziliśmy, że wrócimy już do domu.

W dzieciństwie nie miałam takiej biedy, jaka była w rzeczywistości, bo rodzice starali się, żebym miała jak najlepiej, ludzie pomagali sobie i wspierali się, jak tylko mogli. Na początku chodziłam do ochronki, czyli przedszkola u zakonnic. Potem poszłam do szkoły podstawowej, która miała siedem klas, następnie uczęszczałam do technikum rolniczego przez pięć lat. Zaraz po skończeniu technikum poszłam do pracy jako osoba wykonująca remanenty w sklepach. Bardzo chciałam iść do technikum na studia nauczycielskie do Lublina, ale rodzice powiedzieli mi, żebym została z nimi i pomogła im w gospodarstwie. Beze mnie

nie daliby sobie rady, ponieważ mieliśmy krowy, owce, gęsi, kury i kilka świń oraz cztery i pół hektara pola.

Mojego ojca nikt nie chciał zatrudnić, ponieważ był uznawany za kułaka¹. Mimo że przez jakiś czas pracował w bankowości, to gdy dowiedzieli się, że jest kułakiem, od razu go zwolnili. Zaczęłam pracę w prezydium miejskiej rady w Przysusze, ale szybko przestałam, bo rozpoczęłam pracę w radzie gromadzkiej w Borkowicach w 1960 roku. W tym też czasie wyszłam za mąż za śp. Jana i urodziłam pierwsze dziecko. W radzie gromadzkiej pracowałam do 1970 roku, w tym czasie zdążyłam urodzić dwoje dzieci, jedno w 1965 i drugie w 1968 roku. Od 1970 roku do emerytury w radzie gromadzkiej byłam kierownikiem urzędu stanu cywilnego, a w 1990 roku skończyłam tam pracę, ponieważ rada gromadzka przekształciła się w gminę i dała mi wybór, czy chcę dalej pracować, czy iść na wcześniejszą emeryturę. Wybrałam drugą opcję. A na emeryturze zajmowałam się i zajmuję wychowywaniem wnuków.

¹ Kułak – bogaty rolnik uznawany za wroga klasowego w PRL-u.

Podoba mi się bycie dziadkiem

Szymon Serafin, klasa VII b

– historia dziadka Jerzego Ptaszyńskiego

Urodziłem się na Roztworowie w niewielkim domku 21 lutego 1953 roku. Domek był drewniany, a jego ściany były pomalowane na biały kolor. Były tam dwa pokoje, kuchnia i sypialnia. W kuchni były stół, piecyk i łóżko. Sypialnia była mniejsza, były tam miejsca do spania, szafa i toaletka. Gdy miałem około siedmiu lat, poszedłem do szkoły, zaprowadzała mnie najmłodsza siostra.

Pamiętam, że kiedyś jeździło się z kolegami do lasu. Gdy byłem mały, mówiłem tacie, że powiększę gospodarstwo. Udało mi się skończyć tylko osiem klas szkoły podstawowej. Od samego początku wiedziałem, że będę musiał zająć się gospodarstwem, ponieważ wszystkie moje siostry wyjechały.

Gdy byłem nieco starszy, a miałem wtedy 16 lat, zmarł mój ojciec. Bardzo to przeżyłem. Od tej pory sam musiałem zająć się gospodarstwem. Dwa lata później ożeniłem się, o ile się nie mylę, to był to 1977 rok. W 1979 roku urodziło się moje pierwsze dziecko, a dwa lata później na świat przyszła moja córka.

W moim życiu wydarzyło się wiele ciekawych rzeczy, lecz nie wszystkie już pamiętam, bardzo podoba mi się bycie dziadkiem. Dziś jest nieporównywalnie lepiej niż kiedyś.

Tęsknię za dawnymi czasami

Marta Wojtczak, klasa VII a

– historia dziadka Władysława Wojtczaka

Urodziłem się 19 sierpnia 1951 roku. W wieku siedmiu lat poszedłem do szkoły. Dawniej do szkoły zaczynało się chodzić w wieku siedmiu lat i było też osiem klas, tak jak jest teraz. Przedmioty, których się w niej uczyłem, to: WF, geografia, biologia, religia, muzyka, matematyka, język polski, język rosyjski, technika, fizyka, chemia i historia. Moimi ulubionymi była matematyka i język polski, najbardziej zaś nie lubiłem języka rosyjskiego.

W wolnym czasie pomagałem rodzicom w gospodarstwie i grałem w różne gry ze swoimi przyjaciółmi, najczęściej graliśmy w piłkę nożną, hokeja, szachy oraz jeździliśmy na łyżwach. Rzadziej graliśmy w klasy. Dawniej modne były długie włosy, spodnie z szerokimi nogawkami, czyli tzw. dzwony, i pantofle na podwyższonym obcasie. Gdy miałem 28 lat, ożeniłem się i rok po ślubie urodził się mój syn, a potem jeszcze troje moich dzieci.

Kiedyś w Błędowie drogi były brukowe, było mniej zabudowań i sklepów. Miejscowość, w której mieszkam, zmieniła się nie do poznania, drogi są z asfaltu, jest o wiele więcej zabudowań gospodarczych, a na polach kiedyś przeważały zboża, teraz w sadach w większości są jabłonie, czereśnie, grusze, wiśnie lub śliwki, rzadziej zboża.

Bardzo tęsknię za dawnymi czasami, ponieważ kiedyś młodzież spotykała się bardzo często. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie większość czasu spędzają, siedząc przed komputerem, ale nie tylko dlatego tęsknię za dawnymi czasami. W wieku 56 lat urodziła się moja pierwsza wnuczka, a w następnych latach kolejnych trzech wnuczków i cztery wnuczki, więc mam aż ośmioro wnucząt. Jestem bardzo zadowolony, że mam taką dużą rodzinę.

Silny, biały koń

Łukasz Zaranek, klasa VII b

– historia babci Janiny Zaranek

Pani Janina od zawsze twierdziła, że na świecie jest teraz lepiej, niż było kiedyś. Jak podkreśla, wszystko było trudno dostępne, nawet jedzenie, a co gorsza – niektórych nie było na nie stać. Ciężko były też dostępne rzeczy codziennego użytku, np. ubrania.

Jednak najbardziej zaciekała mnie historia o pewnym przyjacielu jej rodziny.

Zaskakujące jest to, że był to koń. Silny, biały koń. Zwierzęta w tamtych czasach były też drogie i trudno dostępne. W końcu pani Janina ma 85 lat, więc wie dużo o życiu. Gdy była młodsza, bardzo była z nim zżyta. Jeździła na nim, jak najczęściej mogła. Kiedy wyszła za męża, przydarzyła się przykra sprawa, a mianowicie – koń chciał zabić jej mamę przez zgniecenie. Oczywiście mama przeżyła, ale od tamtej pory bardzo się bała zwierzęcia i została podjęta decyzja o sprzedaży. Pani Janina była załamana, ale nie mogła nic poradzić i konia sprzedano. Zostały jej tylko po nim wspomnienia, ale zawsze będzie w jej sercu.

Kiedy przeprowadzałem ten wywiad, pani Janina bardzo się ucieszyła, że mogła opowiedzieć jedną ze swoich historii. Była też pod wrażeniem, że interesują mnie opowieści starszej osoby. Jak sama przyznała, myślała, że ludzie w moim wieku wolą internet.

„Rodzice wyrzucili ją z ciężarówki, którą jechali. Nie widziałem, dlaczego to zrobili. Tata mi wyjaśnił, że Basia jest Żydówką”.

„Ojciec wytłumaczył mi, że Niemcy karali śmiercią ludzi, którzy ukrywali Żydów”.

„Zawsze po powrocie ze szkoły oprócz odrobienia lekcji musiałam wykonywać różne prace w gospodarstwie swojego taty”.

„Zdecydowanie wolę, jak było kiedyś, bo kiedyś to nie było komputerów i każdy miał dużo znajomych, można było do kogoś pójść, a teraz każdy żyje w świecie internetu”.

„Wszyscy byli tak samo ubrani. Był niebieski fartuch z rękawami i biały kołnierzyk, który codziennie się zmieniało”.

„W moim rodzinnym domu nie kupowało się chleba, zawsze moja mama piekła raz w tygodniu siedem dużych blach chleba, który starczał na cały tydzień”.

GĄSOCIN

„Uczniowie mieli ogromny szacunek do nauczycieli i jeśli profesor coś mówił, to tak miało być i nie podlegało to dyskusji”.

„Staliśmy na zmianę z dziadkiem, ja w ciągu dnia z dziećmi, a dziadek zmieniał mnie i stał całą noc. Trwało to cztery dni, ale w końcu wróciliśmy do domu z pralką”.

„Potem zawieźli ich do Działdowa do aresztu, za ten mały kawałek stoniny, a my siedzieliśmy sami”.

„Ubrania sami sobie robiliśmy. Mama robiła nam z lnu, a my je farbowałam. I zawsze mieliśmy piękne kolorowe bluzki czy sukienki”.

„Kiedy było powstanie warszawskie z naszej wsi było widać, jak Warszawa się pali”.

„Mikołaj rozdawał prezenty, a jeśli ktoś był niegrzeczny, to dostawał linijką po rękach lub był ciągnięty za ucho”.

O czasach stanu wojennego

Bartosz Bieńkowski, klasa VII b

– rozmowa z babcią Henryką Bieńkowską

W ramach programu Akademia Młodego Obywatela przeprowadzę wywiad z moją babcią Henryką Bieńkowską, która ma 65 lat i przeżyła czasy stanu wojennego.

Cześć, babciu!

Witaj, wnusiu!

Czy zgodzisz się, żebym przeprowadził z tobą krótki wywiad na temat twojego życia?

Jasne, zaczynamy!

Babciu, ile miałaś lat, kiedy w Polsce ogłoszono stan wojenny?

To był 1981 rok, grudzień, miałam 26 lat. Usłyszałam w radiu wypowiedź prezydenta, który oznajmił stan wojenny.

Ojej! To musiało być straszne. Co poczułaś wtedy, babciu, bałaś się?

Pamiętam, że czułam wielki niepokój i strach, ponieważ wiedziałam, co może dziać się w naszym kraju.

Jak z twojego punktu widzenia wyglądała sytuacja w tamtych czasach?

Oj, wnusiu, wszystko było bardzo skomplikowane. Dla jednych stan wojenny to czasy strajków i nielegalnej prasy. Dla mnie i ludzi z mojej miejscowości były to czasy, w których na półkach sklepowych brakowało towaru. Trzeba było wtedy mieć karteczkę na sprzęty lub jedzenie. Pamiętam, jak miałam kupić swoją pierwszą pralkę. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ trzeba było wtedy stać po kilka godzin, a czasami nawet i parę dni w kolejkach. Staliśmy na zmianę z dziadkiem, ja w ciągu dnia z dziećmi, a dziadek zmieniał mnie i stał całą noc. Trwało to cztery dni, ale w końcu wróciliśmy do domu z pralką. Krócej się stało w kolejce po mięso. Sklep otwierali

o siódmej, a my staliśmy w kolejce już od godziny czwartej i czekaliśmy na towar.

Były to pewnie dla ciebie bardzo ciężkie czasy, ale czy mogłabyś opowiedzieć coś jeszcze o czasach, gdy chodziłaś do szkoły i zabawach, w które się bawiłaś?

Najbardziej znane gry w tamtych czasach to zabawa w chowanego, berek, klasy i strzelanie z procy.

A były jakieś sporty, które lubiłaś uprawiać?

Bardzo lubiłam biegać, byłam najszybsza z klasy, lecz niestety nigdy nie umiałam grać w piłkę nożną, chociaż zawsze chciałam się nauczyć.

Daleko miałaś do szkoły?

Zależy, jak na to patrzeć, miałam do przejścia trzy kilometry, ale lubiłam chodzić, więc dla mnie to było niedużo.

Dużo osób liczyła twoja klasa?

Moja klasa była niewielka, było tam tylko 12 osób.

Dziękuję ci, babciu, za poświęcony czas. Bardzo mnie to zainteresowało i już teraz wiem, że życie ludzi w tamtych czasach było o wiele cięższe.

Dziękuję ci również, wnusiu.

Basia

Jakub Bojarski, klasa VII b

– wywiad z dziadkiem Grzegorzem Dzielińskim

W ramach Akademii Młodego Obywatela miałem za zadanie przygotować wywiad z niezwykłym człowiekiem. Długo myślałem, z kim mógłbym porozmawiać. Któregoś dnia przypadkowo trafiłem do domu swoich dziadków. Opowiedziałem im, jakie dręczą mnie myśli, i mój kochany staruszek bez pytań z mojej strony zaczął opowiadać.

Pamiętam to, jakby było to wczoraj. – Zaczął swoją opowieść dziadek. – Był deszczowy wieczór. Jedliśmy właśnie kolację – ciągnął. Wtedy zacząłem uważniej słuchać. Byłem ciekaw, co się tego wieczoru wydarzyło.

I co dalej? – dopytywałem.

Właśnie tego wieczoru poznałem swoją siostrę Basię.

Przecież ty nie masz siostry. Jesteś jedynakiem – stwierdziłem.

Rodzanej nie mam, ale mam przyszywaną – powiedział, uśmiechając się. – Teraz daj mi opowiedzieć o tym wieczorze i cudownym roku spędzonym na zabawach.

Jakich zabawach? Przecież była wojna – dopytywałem zniecierpliwiony.

Już mówię. Tego wieczoru mój tata, a twój pradziadek Tadeusz zauważył za oknem dziecko. Dokładnie dziewczynkę. Małą dziewczynkę na ulicy. Była przestraszona i ciągle się rozglądała. Mój tata wstał i szybko pobiegł na ulicę. Chwytał dziewczynkę na ręce i przyniósł do domu.

A gdzie byli jej rodzice? Moi rodzice nigdy by mnie nie zostawili samego na ulicy!

To były inne czasy. Była wojna. Ja też wtedy tego nie rozumiałem. Wszystkiego się dowiesz, jak skończę opowiadać.

OK! OK!

Na czym skończyłem? A no tak. Przyniósł ją do domu. Obejrzał dokładnie. Babcia opatulila ją kocem i dała kubek gorącego mleka. Zaczęło się dopytywanie. Jak masz na imię? Ile masz lat? Gdzie twoi rodzice? Gdzie mieszkasz? Miała na imię Basia i miała sześć lat. Mieszkała w Warszawie. Rodzice wyrzucili ją z ciężarówki, którą jechali. Nie widziałem, dlaczego to zrobili. Tata mi wyjaśnił, że Basia jest Żydówką. Jej rodzice uratowali jej w ten sposób życie, bo sami pewnie trafili do getta lub obozu. Nie wiedziałem, co to jest, i tata mi tego nie tłumaczył. Teraz już wiem i rozumiem ich postępowanie.

Ja też wiem, co Niemcy robili z Żydami. Wiem, co to getto i obóz.

– Pochwaliłem się wiedzą.

Tata powiedział, że trzeba ją ukryć. Kazał nic nie mówić nikomu. Powiedział, co się z nami stanie, jak ktoś się dowie.

Zamyślony dziadek opowiadał dalej.

Przygarnęliśmy dziewczynkę i ukryliśmy w piwnicy. Domyśliliśmy się, że rodzice małej Basi zostali schwytani przez Niemców. Nie wiedzieliśmy, co dalej dzieje się z jej rodzicami. Mój ojciec zrobił Basi w piwnicy mały pokoik. W tym pokoiku Basia spędzała całe dnie. Dziwiłem się dlaczego! Ojciec wytłumaczył mi, że Niemcy karali śmiercią ludzi, którzy ukrywali Żydów. Mówił, że wieszano ich we wsi lub rozstrzeliwano. Byłem przerażony jego słowami. Ryzykował życie swoje i swojej rodziny, by uratować Basię. Opowiadał, że nikt nie mógł jej zobaczyć. Bali się, że ktoś może ich wydać. Byłem jedynakiem i brakowało mi towarzystwa dzieci. Często schodziłem do piwnicy do Basi. Razem się bawiliśmy. Ta mała dziewczynka była dla mnie jak siostra. Przebywała u nas prawie rok. Stała się członkiem rodziny. Wszyscy ją pokochali. Myślałem, że Basia zostanie u nas na zawsze.

Któregoś ranka usłyszałem, jak mój tata z kimś rozmawia. To była kobieta. Szukała informacji o zaginionej dziewczynce. W rękę trzymała jej fotografię.

„Bardzo proszę mi pomóc. Szukam tej dziewczynki. Niech pan chociaż spojrzy na fotografię” – mówiła ze łzami w oczach.

„Ja pani nie znam. Nie wiem kim, pani jest. Ma pani jakieś dokumenty?” – dopytywał Tadeusz.

„Mam tylko fotografię. Mogę i chcę wytłumaczyć. Niech pan mnie zrozumie” – prosiła.

„Niech pani i mnie zrozumie” – bełkotał tato.

Opowiedziała historię zaginięcia swojej siostrzenicy i jej rodziców. Rozmowie tej przez szparę przysłuchiwała się także Basia. Rozpoznała w kobiecie swoją ciocię. To była siostra jej mamy. Zaczęła cicho płakać.

„Ciocia Magda. To ciocia Magda” – mówiła przez łzy Basia.

Wszystko potoczyło się szybko. Wpadły sobie w ramiona. Obie bardzo płakały. Płakała również moja rodzina. Nawet ja płakałem. Zdałem sobie sprawę, że Basia odejdzie z ciotką. Ciotka Basi została u nas na noc. Z samego rana podziękowały za gościnę i wyjechały do Warszawy. Cała rodzina tęskniła za Basią. Zajęto nam prawie rok pogodzenie się z tym, że Basi już z nami nie ma. Życie toczyło się dalej. Po kilku latach w naszym domu pojawili się nieoczekiwani goście. To była Basia ze swoimi rodzicami. Razem z Basią wspominaliśmy chwile spędzone razem w piwnicy. Opowiadaliśmy sobie, co robiliśmy do tej pory, gdy się nie widzieliśmy. Dowiedziałem się, gdzie podziewali się przez ten rok rodzice Basi. Gościna trwała kilka dni. Znowu nadszedł czas rozstania. Obiecaliśmy sobie z Basią, że będziemy się odwiedzać i pisać do siebie listy. Utrzymujemy kontakt do dziś.

Dziadek zamilkł, a mnie ta historia głęboko zapadła w pamięci. Zrozumiałem, że dzięki tej rozmowie powstał niezwykle wywiad, który miałem przecież przeprowadzić. Cieszyłem się, że mam wszystko gotowe i byłem dumny ze swojej bohaterskiej rodziny, która nie wahała się uratować życie bezbronного dziecka.

Rok 1989 był nadzieją dla wszystkich Polaków

Jakub Budziszewski, klasa VII a

– wspomnienia babci Jadwigi Arciszewskiej

Babciu, chciałbym z tobą porozmawiać o 1989 roku, o pierwszych wyborach. Jak wspominasz tamten rok?

Był to bardzo ważny i przelomowy rok dla Polski. Zniesiono ostatnie rodzaje kartek, np. na benzynę. Nadal nie było towarów w sklepach i były długie kolejki. Pamiętam ten rok doskonale, ponieważ był nadzieją dla wszystkich Polaków na lepszą przyszłość, że wreszcie będzie normalnie. Bogaci ludzie kupowali produkty w sklepie Pewex – tam było wszystko. Trzeba było tam płacić dolarami.

Jak wyglądało życie w tym roku?

Życie nie było wtedy łatwe. Przed sklepami, w których nie było towaru, ustawiały się długie kolejki.

Dużo osób nie miało pracy ani pieniędzy na życie. Pamiętam, że kiedyś, jak byłam w sklepie, podbiegła do mnie dziewczynka i poprosiła mnie o pieniądze na cukierki. Dałam jej banknot i czym prędzej pobiegła do kolejki.

Czy pamiętasz najważniejsze wydarzenia z tego roku?

Pamiętam, że wtedy odbył się Okrągły Stół¹ i pierwsze wolne wybory. Dokładnie dat nie pamiętam, ponieważ było to dawno i po prostu zapomniałam.

1 Okrągły Stół (6.02–5.04.1989) – jedno z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii Polski. Negocjacje prowadzone przez przedstawicieli władzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, demokratycznej opozycji i przedstawicieli Kościołów. Od niego rozpoczęły się zmiany ustrojowe, w tym częściowo wolne wybory do Sejmu (wybory czerwcowe).

Jak wyglądały te wybory?

Wszyscy cieszyli się z tego momentu. Każdy, kto mógł, przychodził do urn wyborczych i głosował według własnych przekonań. Wybory 4 czerwca były początkiem demokracji i upadkiem komunizmu. Dowiedziałam się o nich z gazety i radia, ponieważ nie mieliśmy telewizora. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy zagłosować.

A więc jak wyglądał Okrągły Stół?

Wiem, że rozmowy zaczęły się w lutym i trwały dwa miesiące. Odbywały się w Warszawie. Utworzono na nich m.in. urząd prezydenta i Senat składający się ze 100 osób. Dzięki tym obradom można było zorganizować wolne wybory.

Jak ty radziłaś sobie w tych czasach?

Na wsi życie toczyło się dużo spokojniej niż w miastach. Nie było strajków, łatwiej było o żywność, ponieważ miałam gospodarstwo. W miastach ludzie tracili mieszkania i cały majątek, często musieli wyjeżdżać za granicę. Na wsi wszystko toczyło się wolniej. Nikogo nie wyrzucali z domu, a gdy czegoś brakowało, np. wody, wtedy szło się do sklepu. W moim przypadku do sklepu miałam kilometr, a więc dosyć blisko, i czasem szłam razem z siostrą.

Bardzo ci dziękuję za to, że mi opowiedziałaś o tym, jak wyglądało życie w tamtym roku.

Nie ma za co. To dla mnie była przyjemność. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy.

Wyprawa na pierwszą pasterkę

Maria Dziewiątkowska, klasa VII a

– wspomnienie babci Barbary Gburzyńskiej

Moja babcia Barbara Gburzyńska urodziła się 15 listopada 1947 roku. W tym roku kończy 73 lata. Babcia wychowywała się w małej miejscowości Gutków, tam spędziła swoje dzieciństwo i młodość.

Babciu, jak w twoich czasach wyglądała szkoła i nauka?

Gdy ja chodziłam do szkoły, nauka łączyła się z obowiązkami dotyczącymi życia na wsi. Zawsze po powrocie ze szkoły oprócz odrobienia lekcji musiałam wykonywać różne prace w gospodarstwie swojego taty.

A jakie to były prace, w czym mu pomagałaś?

Musiałam nakarmić zwierzęta, paść krowy i sprzątać w domu. Również podczas żniw było wiele pracy, więc musiałam gotować obiady dla całej rodziny, opiekować się młodszym rodzeństwem i czasami pomagać w zbiorach. Wtedy żniwa były o wiele trudniejsze, ponieważ trzeba było wykonywać wiele prac, które teraz robią maszyny.

A co lubiłaś robić w wolnym czasie?

Gdy byłam dzieckiem, uwielbiałam czytać książki i przenosić się do życia bohaterów z czytanych przez siebie powieści. Lubiałam grać z koleżankami w klasy, chowanego i pochody, a później, kiedy byłam starsza, czyli miałam około 17 lat, lubiałam wychodzić z przyjaciółmi na dyskoteki do pobliskich wsi.

Jak ci szło w szkole? Jakie miałaś oceny?

Mimo dużej ilości obowiązków i utraty mamy w wieku dziewięciu lat miałam bardzo dobre oceny, a ponadto czerpałam dużo przyjemności z nauki. Tak jak już mówiłam, kochałam czytać książki, dzięki czemu łatwo szło mi pisanie długich wypowiedzi na lekcje języka polskiego.

Babciu, jestem też ciekawa, z czego utrzymywała się twoja rodzina, opowiedz mi coś o tym, proszę.

Na utrzymanie rodziny głównie pracował mój tata. Mieliśmy krowy, które dostarczały nam mleko, było go dużo, więc tata co tydzień jeździł do mleczarni i tam je sprzedawał. Na gospodarstwie były również świny, z których mieliśmy mięso, ale też co jakiś czas je sprzedawaliśmy.

Czy pamiętasz przyjaciółkę ze szkolnej ławki?

Tak. Nawet do tej pory mam z nią kontakt. Nazywa się Honorata, ale w szkole wołaliśmy na nią Honorka. Spędzałam z nią wiele czasu i przeżyłam z nią wiele cudownych chwil. Zawsze była dla mnie wsparciem i nigdy nie dało się z nią nudzić. Była naprawdę dobrą przyjaciółką.

Na zakończenie wywiadu mogłabyś powiedzieć, co wspominasz najlepiej?

Marysiu, kilkadziesiąt lat temu żyło się inaczej, ale mimo to mam wiele wspomnień, które do dziś mnie wzruszają.

Jedną z historii, która najbardziej zapadła mi w pamięci, jest moja samodzielna wyprawa na pierwszą pasterkę w moim życiu. Miałam wtedy może 10 lat, było to świeżo po śmierci mojej mamy. Bardzo chciałam iść na tę mszę, ale moje siostry uważały, że jestem za młoda. Kiedy dorośli wyszli z domu, ja prędko się ubrałam i wybiegłam za nimi. Warto też podkreślić, że wtedy nie było aut, więc musiałam iść pieszo, a była noc. Weszłam do kościoła i usiadłam w ławce, otaczali mnie sami dorośli. Zaczęliśmy śpiewać kolędy i tak bardzo się wzruszyłam, że aż się popłakałam. Kiedy skończyła się msza, wybiegłam szybko z kościoła i starałam się dyskretnie iść do domu za swoimi siostrami. Ta droga bardzo mi się dłużyła, byłam cała zmarznięta i marzyłam tylko o tym, żeby być już w domu. Na szczęście dotarłam cała i zdrowa. Mimo że bałam się, że siostry się na mnie zezłoszczą, to było warto.

Miło wspominać stare, dobre czasy

Maja Janiec, klasa VII a

– rozmowa z panią Barbarą Janiec

Dzień dobry, pani Barbaro. Czy zgadza się pani na umieszczenie wywiadu w książce?

Nie ma problemu.

Dobrze, możemy zacząć?

Oczywiście.

W którym roku się pani urodziła?

19 października 1950 roku.

Miała pani rodzeństwo?

Miałam siostrę, która zmarła w wieku ośmiu miesięcy.

Ile miała pani dzieci?

Dzieci miałam siedmioro, w tym sześciu synów i jedną córkę.

Jakie były słodycze?

Różne czekolady i pomarańcze, z których zawsze się cieszyłam, ponieważ wtedy słodycze dostawało się tylko na święta.

Gdzie się pani wychowała?

Wychowałam się w Gąsocinie na ulicy Kolejowej.

Dużo pani miała znajomych?

Tak, wtedy to były inne czasy, nikt nie patrzył na wygląd ani na to, kto ile ma pieniędzy.

Czy miała pani swoją ulubioną zabawkę z dzieciństwa?

Tak, była to lalka zrobiona z takiego gipsu. Tę lalkę dostałam na święta pod choinkę, niedawno ją komuś oddałam.

Bardziej pani woli te czasy czy tamte stare?

Zdecydowanie wolę, jak było kiedyś, bo kiedyś to nie było komputerów i każdy miał dużo znajomych, można było do kogoś pójść, a teraz każdy żyje w świecie internetu.

Dziękuję za udzielenie wywiadu.

Bardzo miło było mi wspominać stare dobre czasy.

Najważniejsza jest przyjaźń i tolerancja

Maria Janiec, klasa VII a

– wspomnienia babci Bogumiły Szulińskiej

Urodziłam się w listopadzie 1947 roku w Gdańsku. Z rodzicami mieszkaliśmy w kamienicy nad Mottawą naprzeciwko Żurawia. Uczęszczałam do przedszkola. Wiosną 1954 roku przeprowadziliśmy się do miejscowości Skrobocin, skąd pochodziła moja mama. Rodzice powrócili na wieś, żeby pomóc dziadkowi z prowadzeniem gospodarstwa, lecz było ono niewielkie, dlatego tatuś pracował na kolei w Warszawie. We wrześniu 1954 roku poszłam do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Gąsocinie.

Jak wyglądała wówczas szkoła?

Szkoła mieściła się w trzech drewnianych budynkach, podzielonych na klasy. Toaleta znajdowała się na dworze i był to tzw. wychodek. Zimą budynki ogrzewano kaflowymi piecykami, ale mimo to było bardzo zimno. Uczniowie mieli na sobie kurtki, płaszcze i czapki i zazwyczaj przemoczzone buty.

Jakich przedmiotów uczono w szkole?

Podobnie jak dzisiaj uczyliśmy się języka polskiego, matematyki, historii, geografii, biologii, muzyki i plastyki, a od piątej klasy języka rosyjskiego.

Czy pamiętasz, babciu, swoich nauczycieli?

Dyrektorem był pan Jan Gołębiewski. W nauczaniu początkowym moją wychowawczynią była pani Jadwiga Sadowska, a później pani Janina Bazarska, nauczycielka języka polskiego. Pamiętam również innych nauczycieli: pana Mariana Gajka od geografii, panią Marię Obidzińską od biologii, panią Halinę Szymańską od muzyki, panią Hannę Zarembę od historii.

Jak wspominasz, babciu, czasy szkolne?

Mimo trudnych czasów miło wspominałam okres nauki w szkole podstawowej. Wszystkie dzieci z jednej wsi zbierały się i razem

szły do Gąsocina na lekcje. Czasem udało nam się podjechać na wozie z bańkami mleka, które gospodarze odwozili do mleczarni. Koledzy mający rowery podwozili nam tornistry.

Jak dzieci spędzały czas po zajęciach szkolnych?

Dzieci pomagały rodzicom w różnych pracach. Sprzątanie, pranie, szorowanie podłóg i opieka nad młodszym rodzeństwem należały do zajęć dziewczynek. Chłopcy pomagali w gospodarstwie. W starszym wieku chodziło się na zarobek do sąsiadów, pomagając przy pieleniu, wykopkach i żniwach. W wakacje wypasało się krowy. Mimo wielu zajęć był też czas na zabawę. Graliśmy w chowanego, ciuciubabkę, dwa ognie. Nigdy się nie nudziłyśmy.

Czy zadawali Wam prace domowe?

Prace domowe były zadawane z różnych przedmiotów i musieliśmy radzić sobie bez pomocy, które dzisiaj są dostępne dla dzieci i młodzieży (książki, słowniki, internet). Czasem pomagali nam rodzice. Lekcje odrabialiśmy wieczorem, siedząc przy jednym stole we troje (miałam dwoje młodszego rodzeństwa) przy świetle lampy naftowej.

Jak spędzaliście rodzinie wolny czas?

Mieliśmy radio, więc słuchaliśmy audycji. Często śpiewaliśmy piosenki, które były spisane w zeszycie. Dziadek czytał nam bajki i opowiadania. W świąteczne dni spotkaliśmy się z rodziną.

Do jakiej szkoły poszłaś po ukończeniu szkoły podstawowej?

Zdawałam egzamin do szkoły pedagogicznej w Mławie, ale się nie dostałam. Wyjechałam do Gdańska i uczęszczałam do technikum przemysłu spożywczego. Miło wspominałam praktyki w Zakładach Przemysłu Cukierniczego „Bałtyk”, gdzie mogłam najeść się do woli słodyczy, co w tamtych czasach było rzadkością. Mieszkałam w internacie, a do domu przyjeżdżałam tylko na święta, ferie i wakacje. Po ukończeniu szkoły wróciłam do rodzinnej wsi.

Kiedy zamieszkałaś, babciu, w Łopacinie?

W 1967 roku wyszłam za mąż za kawalera z sąsiedniej wsi i zamieszkałam w Łopacinie. Z mężem i teściami prowadziliśmy gospodarstwo rolne. Dopiero w 1972 roku pobudowaliśmy murowany dom.

Jaki okres w życiu utkwiał ci, babciu, najbardziej w pamięci?

Najcięższy czas był od połowy lat 70. do końca lat 80. XX wieku. W sklepach na półkach stał tylko ocet. Brakowało żywności, odzieży i sprzętu rolniczego. Wszystkie towary były na kartki wydawane przez urząd gminy sołtysowi, a następnie mieszkańcom wsi. Od 1976 roku przez 15 lat mój mąż był sołtysiem, dlatego dobrze pamiętam ten czas. Przez nasz dom przetoczyło się mnóstwo ludzi po kartki, kwiaty, zaświadczenia, gdyż na wszystko było potrzebne pozwolenie. Rolnicy musieli przekazywać dużą część towarów na rzecz skarbu państwa i było im bardzo trudno. W sklepach były kolejki (nawet nocą) i często kupowało się towar, który rzucano do sprzedaży, a nie ten, na który się czekało.

Skoro towary były tak trudno dostępne, to jak w takim razie można było nakarmić i ubrać rodzinę?

Gospodynie gotowały i przyrządzały jedzenie z produktów, które wyprodukowano w gospodarstwie, czyli mleka, jajek i mięsa, zazwyczaj drobiowego. Dzieci nosiły ubrania, obuwie oraz korzystały z książek po starszym rodzeństwie. Kobiety szyły, robiły na szydełkach i drutach odzież dla rodziny.

Kiedy na wsi zaczęło się lepiej żyć?

Lepsze życie, zarówno na wsi jak i w mieście, przyszło wraz ze zmianami ustrojowymi po 1989 roku. Wieś zaczęła się rozwijać.

Jak oceniasz, babciu, swoje życie, czy było ciekawe?

Uważam, że moje życie było bardzo ciekawe. Miło wspominałam dzieciństwo, a także późniejsze lata pracy. Doświadczyłam wiele trudów i cięższej pracy, ale spotkały mnie też dobre przeżycia w otoczeniu życzliwych ludzi.

Co chciałabyś, babciu, przekazać nam, dzieciom i młodzieży?

Chciałabym przekazać, żebyście docenili to, co macie. Życie w wolnym kraju, macie domy, macie co jeść, możecie chodzić do szkoły, wyjeżdżać na wycieczki. Możecie rozwijać swoje pasje i bawić się. Doceniajcie to.

A czy jest coś, przed czym chcielibyście nas ostrzec?

Widzę, co się dzieje wśród młodzieży i dzieci. Wszyscy zatracacie się w cyberprzestrzeni, elektronice, chcecie mieć wszystko coraz lepsze. Tracie przyjaźń, a często nawet nie próbujecie ich zdobyć. Pamiętajcie – najważniejsze są przyjaźń, tolerancja, zrozumienie, bo żaden sprzęt nie zastąpi relacji z drugim człowiekiem. Trzymam kciuki za wasze pokolenie.

Dzieci i młodzież dawniej

Zuzanna Jończyk, klasa VII a

– wspomnienia babci i dziadka, Zofii i Waldemara Bałandinów

W którym roku się urodziście?

BABCIA: Urodziłam się w 1954 roku w Sońsku. Miałam pięcioro rodzeństwa, z którego obecnie dwoje nie żyje. Później przeprowadziłam się do dworku w Bądkowie.

DZIADEK: Urodziłem się w 1947 roku w Kościeszach, w domu poród odbierała akuszerka¹ Tetfejer. Miałem sześcioro rodzeństwa, które obecnie już nie żyje.

Czym zajmowali się wasi rodzice?

BABCIA: Tata pracował w POM-ie² w Sońsku, a mama później pracowała w szkole.

DZIADEK: Pracowali w majątku u dziedzica, a później po wojnie dostali ziemię z reformy rolnej³, na której pracowali.

Co robiła młodzież wówczas w naszym wieku w czasie wolnym?

BABCIA: Bawiliśmy się w klasy, berka.

DZIADEK: Bawiliśmy się na dworze, graliśmy w piłkę, berka, chowanego.

W którym roku poszliście do szkoły?

BABCIA: W 1961 roku w Bądkowie. Była to stara, drewniana szkoła.

DZIADEK: W 1954 roku poszedłem do szkoły. Szkoła znajdowała się w dworze w Kościeszach. Uczyłem się języka polskiego, matematyki, geografii, historii. Do każdego przedmiotu był inny nauczyciel.

1 Akuszerka – położna, kobieta udzielająca pomocy rodzącej kobiecie.

2 POM – Państwowy Ośrodek Maszynowy.

3 Reforma rolna – upaństwowienie przez władze komunistyczne gospodarstw rolnych o powierzchni powyżej 50 ha w Polsce wschodniej i 100 ha w Polsce zachodniej. Część tej ziemi była przekazana lokalnym rolnikom.

Pisaliśmy stalówką i atramentem, a atrament był w biurku, do kleksów była bibułka.

Ile dzieci było w klasie, czy pamiętacie swoich kolegów i koleżanki?

BABCIA: eż pamiętam swoich kolegów i koleżanki. Mieszkają w mojej rodzinnej miejscowości.

DZIADEK: W klasie było po 28 osób. Siedzieliśmy po dwoje w ławce. Pamiętam swoich kolegów i koleżanki, a część z nich mieszka w mojej miejscowości.

Czy w miejscowości albo okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania?

BABCIA: Ja nie pamiętam, czy ktoś inny mieszkał.

DZIADEK: Dawniej w czasie wojny byli ludzie innej narodowości. Nawet mój tata był pochodzenia rosyjskiego, przyszedł tu w czasie wojny. Przyjechał na koniu w wieku 19 lat, a reszta braci została w Rosji. Został po wojnie w Ślubowie u dziedzica i tu się ożenił.

Jakie były ceny?

BABCIA: Chleb moi rodzice piekli sami, sprzedawali masło i ser, żeby mieć na zakupy i odzież. Starsi ludzie kiedyś chodzili pieszo, brali tzw. tobołek i szli do miasta.

A jak wyglądała miejscowość, w której mieszkaliście?

BABCIA: Przy dworku, gdzie mieszkałam, było dużo drzew, kwiatów i zieleni. Powietrze było czyste i zdrowe.

DZIADEK: Otoczenie wyglądało inaczej. Nie było prądu, tylko lampy naftowe, przy których odrabialiśmy lekcje. Do szkoły chodziliśmy pieszo, nie było autobusów.

Czym zajmowaliście się w dorosłym życiu?

BABCIA: Zajmowałam się dziećmi i pomagałam mężowi w gospodarstwie.

DZIADEK: Ja pracowałem w SKR-ze¹ jako traktorzysta i prowadziłem gospodarstwo rolne.

1 SKR – Spółdzielnia Kótek Rolniczych.

Chleb z cukrem wodą polany

Martyna Kacprzak, klasa VII a

– rozmowa babcią Bożeną Krupińską

W którym roku się urodziłaś?

Urodziłam się w 1956 roku.

Jak wyglądały lekcje i szkoła?

Lekcje w szóstej i siódmej klasie odbywały się w prywatnym domu, inne klasy miały je w szkole. Do szkoły trzeba było dojść pieszo, nie było autobusów ani samochodów. Zazwyczaj w szkołach były podwójne ławki, ale w tej były długie. W jednej ławce siedzieli pięć osób, a do każdej było dostawione krzesło. W ławce był otwór, w którym był kałamarz¹, do którego był lany atrament. Pisało się stalówką z obsadką, czyli czymś w rodzaju pióra. Łatwo było zrobić kleksa. Szkoła była opalana węglem w piecach kaflowych, które znajdowały się w każdej klasie. Toaleta była na podwórku. Nie było wody, obiadów. Do jedzenia brało się chleb z cukrem wodą polany. Książki dostawaliśmy ze szkoły. Wszystkie lektury można było wypożyczyć w bibliotece. W pierwszej klasie był elementarz. W zeszytach pisało się wszystkie litery, zadania. Plecaki były bardzo sztywne, ale było w nich mało książek.

Jak się ubierano do szkoły?

Wszyscy byli tak samo ubrani. Był niebieski fartuch z rękawami i biały kołnierzyk, który codziennie się zmieniało. Był on przypinany na guziki. Nie nosiło się butów, tylko kapcie.

Jak nadrabiało się lekcje, gdy nie było się w szkole?

Żeby przepisać lekcje, trzeba było do kogoś iść. Nie było wtedy telefonu i nie można było zadzwonić. W książkach było wszystko jasno wytłumaczone, więc nie było problemu nauczyć się w domu.

1 Kałamarz – naczynie na atrament do piór.

Jak wyglądało odrabianie lekcji po szkole?

Raczej samemu się odrabiało. Gdy wyprowadzało się krowy na łąkę, brało się książkę i czytało się. Lekcje odrabiano się wieczorem przy lampie naftowej, stała na środku stołu.

Co robiliście po szkole?

Najpierw trzeba było wyprowadzić krowy. Później bawiliśmy się z rodzeństwem w chowanego, podchody i tego typu zabawy. Lecz gdy było nas mniej, to się uczyliśmy.

Jak wyglądał dom? Ile było w nim osób?

W domu było łącznie 11 osób. Rodzice, ośmioro dzieci i babcia. Kuchnia i pokój była dla dzieci i rodziców, a babcia miała osobne pomieszczenie. W pokoju były trzy łóżka, w kuchni dwa. Na łóżkach nie było materacy, tylko słoma w materiałowych siennikach. Był piec do pieczenia chleba. Nie było łazienki, a wodę przynosiło się od sąsiada. Nie było prądu.

Jak wyglądały urodziny, imieniny i komunie święta?

Urodziny i imieniny nie były wyprawiane. Na komunii byli tylko rodzice i rodzice chrzestni. Przed komunią nie można było jeść. Na prezent dostawano się pudełko landrynek i materiał na sukienkę.

Czy były wycieczki szkolne?

Na wycieczki jeździło się sadzić drzewa i na wykopki, czyli zbieranie ziemniaków na zarobek. Każde dziecko miało swój rząd, z którego musiało zebrać ziemniaki.

Czy mieliście jakieś zwierzęta?

Tak, krowy, konia, barana, świnie, kury, gołębie. Bracia umieli jeździć na koniu. Hodowaliśmy je dla siebie na jedzenie, a to, co zostawało, sprzedawaliśmy.

Pojechaliśmy na jakieś zawody wozem z zaprzęgniętym koniem. Cały wóz był zapęczony. Gdy jechaliśmy, minęły nas czółgi przejeżdżające do innej jednostki. Koń się zląkł, przeskoczył przez duży rów przy drodze. Nikt nie spadł z wozu, lecz ten rów był w takim trójkącie i nie mogliśmy się stamtąd wydostać. Na szczęście jakoś się nam udało.

Jaka była moda?

Była moda mini. Później przez krótki czas była moda długa. Potem dziewczyny zaczęły chodzić w spodniach.

Czy były jakieś imprezy w szkole?

Przeważnie tylko zabawa choinkowa. Mikołaj rozdawał prezenty, a jeśli ktoś był niegrzeczny, to dostawał linijką po rękach lub był ciągnięty za ucho.

Jak wyglądały święta?

Jeździło się pociągiem do rodziny. Nocowało się i na drugi dzień się wracało.



Moja babcia Bożena Krupińska w szkole.

Kartki na buty

Julia i Klaudia Marchelewicz, klasa VII a

– rozmowa z bratem ciotecznym dziadka Mariuszem Syskim

Jaki program dla dzieci i młodzieży był emitowany w 1980 roku?

Jedyny program, który był emitowany w telewizji w tamtych latach, to był „Teleranek”. Był nadawany w każdą niedzielę o 9:00 rano.

W którym roku ogłoszono stan wojenny?

Stan wojenny wprowadzono 13 grudnia 1980 roku.

Czy było łatwo kupić rzeczy potrzebne do życia?

To był ciężki czas dla ludzi, gdyż trudno było kupić jedzenie i inne rzeczy potrzebne do życia. Były kartki reglamentacyjne, na których były wypisane rzeczy do kupienia.

Co z produktów było najciężej dostać?

Jedynie produkty, jakie można było dostać, to był cukier, rzadko słodycze, ocet, ubrania, obuwie, meble i mięso.

Jaka kartka była najbardziej dotkliwa dla ludzi?

Kartka na buty, dzięki której można było kupić tylko jedną parę na rok. Ludzie decydowali się na buty zimowe, gdyż wiosną można było obciąć cholewki lub latem wyciąć dziury w palcach.

Czy można było kupić meble?

W kolejkach po meble ludzie stali po dwa tygodnie.

Jaki produkt był wydawany na kartki najdłużej?

Cukier, bo aż przez 10,5 roku.

Jak nazywały się organy ścigania?

Zorganizowano w Polsce oddziały Milicji Obywatelskiej, potocznie nazywanej ZOMO¹. Od 22:00 do 6:00 nie można było się przemieszczać, bo ustalono godzinę milicyjną. Nie można było chodzić

¹ ZOMO – Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej, powołane w drugiej połowie 1956 roku do zaprowadzania porządku w sytuacjach nadzwyczajnych. Wykorzystywane do tłumienia protestów przeciwko władzy.

grupami, tylko po dwie osoby. Osoby, które tworzyły grupę kilkusobową, były aresztowane i bite. W świetle prawa milicji trzy osoby idące razem uważano za grupę zorganizowaną.

Czy ty miałeś jakieś przygody z milicją?

Przebywając w domach towarowych Centrum, byłem śledzony przez tajniaka do miejsca zamieszkania. Oskarżono mnie o zabójstwo sierżanta Karosa, lecz okazało się, że byłem tylko bardzo podobny do zabójcy, którego szukali. Zostałem wypuszczony z aresztu dzień po zatrzymaniu. Nie wolno było stawiać się władzy, żyjąc w tamtych latach. Był to trudny czas dla mnie w tak młodym wieku.

Kiedyś ludzie mieli dla siebie czas

Karolina Metera, klasa VII b
– wywiad z babcią Ewą Meterą

Postanowiłam, że opiszę rozmowę ze swoją babcią Ewą. Urodziła się ona w 1955 roku i ma 65 lat. Jest pogodną osobą. Lubię słuchać jej opowieści godzinami. W sprawie wywiadu wybrałam się do niej zaraz po szkole. Usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy stole i zaczęłam.

Urodziłaś się, babciu, 10 lat po wojnie. Zacznijmy może od tego, jak wyglądało wtedy życie.

Ja to już miałam dobrze. Nie było luksusów, ale już miałam buty, jak chodziłam do szkoły czy koło domu. Miałam zabawki: misie, lalki.

Miałaś może jakąś ulubioną maskotkę?

Moją ulubioną zabawką był miś.

Miał jakieś imię?

Oj, tego już nie pamiętam. Pewnie miał.

A jak wyglądał?

Nie był duży. Może miał 60 centymetrów, ale był ładnie ubrany. Lubiłam się nim bawić.

Pamiętasz może, babciu, jakieś zabawy z koleżankami?

Pamiętam, że jak przychodził maj, to były organizowane tzw. majówki. Nas na wsi z jednego roku było pięcioro, ale były też dziewczyny o rok starsze, młodsze i jak były te zabawy, to już chodziłyśmy na nie. Zaczynały się o godzinie 16. My zostawałyśmy do 22. Kiedy podrosłyśmy, byłyśmy może w szóstej, siódmej klasie, to potrafiłyśmy zostawać do rana.

A w jakie zabawy się bawiłyście, np. w klasy?

Było nas kilka, więc zawsze miałyśmy zajęcia. A to na śniegu się bawiłyśmy, rysowałyśmy patykiem dom – taki kwadrat. Zaznaczałyśmy

w nim łóżko, kredens, stół. Obok płynęła „Struga”, tak nazywałyśmy strumyczek, w którym zimową porą, jak lód zamarzał, przy brzegu formowały się takie ładne kształty i je odrywałyśmy i wstawiałyśmy do domku na śniegu, a to na stół, na szafkę. To były nasze kryształki. A jak przychodziło lato, no to do zmierzchu bawiłyśmy się w chowanego, grałyśmy w piłkę, palanta¹, dwa ognie, zbijaka.

Rozmawiamy o wakacjach. A jak wyglądał rok szkolny?

Zawsze rano spotykałyśmy się i razem szłyśmy do szkoły. A kiedy wracałyśmy, po drodze leżały dwie przewrócone topole i tam siadałyśmy i odrabiałyśmy lekcje.

Ile miałyście godzin lekcyjnych?

W starszych klasach to sześć, a raz w tygodniu siedem.

Jaki był twój, babciu, ulubiony przedmiot?

O (babcia wyraźnie ucieszyła się z tego pytania), uwielbiałam język polski i rosyjski. Te przedmioty mogłam mieć na okrągło.

A jakiego nauczyciela lubiłaś najbardziej?

Ja wszystkich swoich nauczycieli lubiłam, może dlatego, że dobrze się uczyłam. Chociaż chyba najbardziej lubiłam panią od rosyjskiego.

Którego przedmiotu nie lubiłaś?

Matematyki i fizyki. Z matematyki dostawałam czwórki tylko dlatego, że pan nie chciał psuć mi ocen. W starszych klasach to miałam trójki, ale i tak zawsze na koniec roku dostawałam nagrodę za dobrą naukę.

Jak wyglądała taka nagroda?

Książka. To była książka. Nawet jak poszłam dalej do szkoły, to i tak zawsze dostawałam nagrodę w postaci książki, choć z matematyki miałam trójki.

Może porozmawiamy teraz, babciu, o twojej klasie. Ile osób liczyła?

Nas było 26. W każdej klasie mniej niż 20 osób to nie było.

¹ Gra w palanta – zespołowa gra na punkty z użyciem drewnianego kija i piłeczki.

Kogo było więcej? Dziewczyn czy chłopców?

Dziewczyn. Nas było 18, a chłopaków ośmiu.

A chłopacy, tak jak dziś, bili się na przerwach?

Może nie tak często, ale też toczyli bójki. Jedną taką pamiętam, że dwóch braci napadło na jednego na przerwie i mocno go pobili. Nawet kubkiem, bo kiedyś nie było kranów i ręce myliśmy w misce i był taki aluminiowy kubek. Rozcięli mu głowę.

W książkach można zobaczyć rysunki lub zdjęcia dziewczyn grających w klasy. Graliście tak?

W klasy na przerwach? Też grałyśmy. I nie tylko w szkole.

Mieliście szkolną bibliotekę?

Nasza biblioteka to była duża szafa i w niej były książki. Jeśli chcieliśmy jakąś książkę, to kiedy była dłuższa przerwa, szliśmy do tej szafy i pani nam dawała. Tylko trzeba było dbać o te książki. Pani nauczycielka tak nas nauczyła, że trzeba szanować książki. Nie niszczyć ich. Jak pisaliśmy w zeszytach, to musieliśmy pisać starannie, tak żeby każda literka była dociągnięta do linijki. Nie wolno było przeciągnąć. W drugiej klasie, trzeciej to było tzw. pismo kaligraficzne, że trzeba było pisać bez odrywania ręki. Jak mi to nie wychodziło, to ile ja się napłakałam, wstydziłam się pani pokazać. Nie każdy ładnie pisał, ale w zeszycie musiało być czysto. Pisaliśmy stalówkami. Kiedy zrobił mi się kleks, to potrafiłam brać drugi zeszyt i wszystko przepisać. Ale dobrze, że tak nas nauczyła, każdy uczeń się starał.

Jaka była skala ocen?

Najgorszą oceną była dwójka, a najlepszą piątka.

Ciekawi mnie jeszcze, jak obchodzono imieniny i urodziny.**Przynosiliście do szkoły cukierki?**

Tak, ale tylko na imieniny. Urodzin nikt nie obchodził. Braliśmy solenizanta i podrzucaliśmy go do góry.

Nie obchodzono urodzin?

Może w miastach, ale tak to urodziny były zwykłym dniem. Ciężko było, rodzice nie mieli pieniędzy. Ja urodziny i imieniny mam

zaraz przed Wigilią, więc dostawałam czasem lalkę albo długopis, chusteczkę do nosa i czekoladę, pomarańcze.

A kiedyś wierzono w Świętego Mikołaja?

Ja nie wierzyłam, bo widziałam, jak moja matka się za niego przebiera, i potem to ja jej niosłam worek.

A wróżka zębuszka?

Nie było czegoś takiego. Wyleciał ząb, to wyleciał.

Jak obchodzono niedziele?

W niedzielę to kościół był obowiązkowy, odkąd sięgam pamięcią. Nie szedł do niego chyba tylko ktoś, jak chory był. Jak byłam mała, to moja siostra brała mnie na rower i jechałyśmy na mszę. A pod kościołem, zwłaszcza w lecie, to zanim się rozpoczęło nabożeństwo, organista stał z aparatem i robił zdjęcia. Kto chciał, to płacił mu chyba 50 groszy za zdjęcie.

A jak wyglądały komunie? W jakim miesiącu były?

Pierwsza to była w czerwcu, a druga – tydzień po niej.

A jak wyglądały?

Nas do komunii było pięć. Gdy przyszła ta niedziela, w której komunii miała być, to do kościoła jechałyśmy wozem wszystkie razem. Potem do komunii to stałyśmy w rzędzie, ksiądz dawał i tyle.

Jak organizowano przyjęcie w domu?

Skromnie. Na mojej komunii to była tylko moja chrzestna ze swoim mężem i sąsiadka z góry. Od chrzestnej dostałam 100 złotych, a od sąsiadki materiał na letnią sukienkę.

Czy musieliście ubierać się w alby?

Nie. Wkładaliśmy białe sukienki. Bez różnicy czy długie, czy krótkie. Ja miałam długą. Do tego wianuszek, rękawiczki, białe pantofle.

Zmieńmy może temat. Miałas, babciu, rodzeństwo? Ile?

Miałam cztery siostry. Ja byłam najmłodsza.

Jakie miałyście stosunki między sobą?

I tu był problem, bo moja najstarsza siostra była ode mnie 20 lat starsza, nie mieszkała z nami, miała już męża, dziecko. Jak przyjeżdżała do nas na święta, to nie wiedziałam, czy mówić do niej

„ciociu”, czy po imieniu. Druga moja siostra miała 11 lat, kiedy się urodziłam, trzecia osiem, a czwarta cztery. Byłam przez nie rozpieszczana. Nosiły mnie na rękach.

Czyli miałyście z sobą dobry kontakt?

Tak. Nie kłóciłyśmy się. Chociaż ta siostra o cztery lata starsza to, gdy byłam mała, nie chciała, żebym za nią chodziła. Raz poszłam za nią ze swoją koleżanką do takiego ogrodu. Ona weszła na drzewo i zaczęła śliwki jeść. My też chciałyśmy, ale ona nakrzyczała na nas i powiedziała, że te śliwki nam zaszkodzą. Potem rzuciła pestki na ziemię, a my zaczęłyśmy zbierać je i oblizywać.

Często za nią chodziłaś?

Rzadko. Krzyczała, że nie chce ogona, ale poza tym to miałyśmy dobry kontakt. Chociaż raz poszłam do ogródka i narwałam sobie kopru do ziemniaków, a ona kazała sobie też przynieść. Narwałam jej rumianku. Nie powąchała go, tylko od razu pokroiła. Trochę była na mnie zła, jak spróbowała. Już mnie więcej nie wysyłała po nic.

Nie pobityście się nigdy?

Kiedyś byłyśmy same w domu, jeszcze nie chodziłam wtedy do szkoły. I ona urwała łapkę mojemu misiowi. Trociny się posypały. Zrobiło mi się szkoda tego pluszaka, popłakałam się i wtedy złapałam torebkę matki i pobiłam ją nią, ale ona mi nie oddała. Kiedy mama wróciła, powiedziała, żebym nie płakała, i przyszyła misiowi tę łapkę. Nie niszczyło się tak rzeczy. Pamiętam, jak ta moja siostra miała taką ładną, różową sukienkę. Wróciła z kościoła i jeździła rowerem koło domu. I ta sukienka wkręciła jej się w koło. Popłakała się. Jak wyrwała ją z tego koła, to były trzy dziurki, a ona złożyła ręce jak do modlitwy i tak do mnie mówi: „O Jezu kochany, co ja teraz biedna zrobię?”. Zwinęła ją i schowała na dno szafy. Nie pamiętam już, czy matka krzyczała na nią, czy nie. Szanowano ubrania, nie niszczone ich tak.

Opowiadałaś mi kiedyś, babciu, jak wybrałyście się do lasu na poziomki.

No tak. Poszłyśmy i nazbierałyśmy pełne stoiki. Kiedy już wracałyśmy, zobaczyłyśmy w dole tabor cygański. Schowałyśmy się

w krzaki i patrzyłyśmy. Nad ogniem stał tam taki wielki garnek, Cyganka robiła pranie, małe Cyganiaki biegały. Zaczęłyśmy uciekać, bo bałyśmy się, żeby nas nie wykradli. Tak biegłyśmy, że poziomki powysypywały nam się ze stoików.

Spotkaliście jeszcze kiedyś Cyganów?

Tak. Jak ich tabor był w lesie, to codziennie chodzili po wsi. Kiedyś przyszła do nas taka stara Cyganka i chciała trochę mąki. Moja siostra poszła po tę mąkę i ja też chciałam z nią iść, a ta Cyganka tak do mnie mówi: „Nie bój się babci, ja ci nic nie zrobię”, ale i tak uciekałam. Bardzo się bałam Cyganów. Raz jechali do lasu takimi kolorowymi wozami, które przypominały barakowozy, a raz zwykłymi. Kradli, widziałam na własne oczy. Było po deszczu i pod rynkami stały balie na deszczówkę. I Cyganiak zeskoczył z wozu, wylał tę wodę, wziął tę balię i z powrotem wskoczył na wóz.

A jak wyglądało zaopatrzenie sklepów?

Nie można było kupić wszystkiego. Teraz idziesz i wszystko jest, a wtedy to tak nie było. W poniedziałki sklepy mięsne były pozamykane. Stało się w kolejce i nic się nie kupiło, bo skończył się towar. Chociaż sklepowe sprzedawały mniejsze ilości, żeby dla większej liczby ludzi starczyło. U nas w domu rodzice zabijali świniaka dwa razy w roku. Jak już potem byłam dorosła, to też stałam w kolejkach. Mięso, cukier były na kartki.

Skoro rozmawiamy już o późniejszych latach. Pamiętasz, babciu, stan wojenny?

Pamiętam, jak go generał Jaruzelski ogłaszał. Każdy był wystraszony. Nie wiedziałam, co to znaczy stan wojenny. Potem oglądałam w telewizji strajki, aresztowania.

Podsumujmy naszą rozmowę. Jak, babciu, oceniasz czasy, kiedy byłaś mała?

Moim zdaniem teraz jest lepiej, bo ludzie żyją w lepszych warunkach, można wszystko kupić w sklepach, ale jeśli chodzi o stosunki między ludźmi, to kiedyś było lepiej. Ludzie z sobą rozmawiali, mieli dla siebie czas, a teraz to tylko te telefony i komputery. Kiedyś,

jak przyszło lato, to sąsiedzi schodzili się, siedzieli na ławkach i rozmawiali, a teraz wszystko jest zapędzone, ludzie się nie znają.

Ostatnie pytanie. Ile miałaś, babciu, lat kiedy dostałaś pierwszy telefon komórkowy?

Twój tata miał 20 lat. To było w 2001 roku. Miałam wtedy 46 lat.

Dziękuję za rozmowę. Dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy.

Po naszej rozmowie mogę stwierdzić, że dawne czasy były trudniejsze, ale ludzie mogli liczyć na siebie nawzajem. Teraz coraz trudniej o takie wsparcie. Oddaliśmy się od siebie. Gdyby historia miała się powtórzyć i znów nadeszłyby wojna czy też stan wojenny, ludzie nie poradziłiby sobie. Samotny człowiek sobie nie poradzi. Kiedyś, choć było ciężko, ludzie się wspierali i walczyli o przyszłość nie tylko swoją, ale i innych. Teraz każdy widzi tylko siebie, a przecież razem jest łatwiej. Szkoda, że ludzie często o tym zapominają.

Choć było ciężko, to jakoś łatwiej się żyło

Mateusz Oleszkiewicz, klasa VII a

– wspomnienia babci Jasi Smakulskiej

Moja babcia nazywa się Jasia Smakulska. Urodziła się w 1955 roku w małej miejscowości Chełst koło Mińska Mazowieckiego. Tam spędzała swoje dzieciństwo i młode lata.

Jak, babciu, wspominasz swoje szkolne, młode lata?

Do szkoły podstawowej chodziłam trzy kilometry pieszo. Tornistry wtedy były z tektury, system ocen był od dwójki do piątki, nie było jeszcze jedynek ani szóstek.

Jakie zabawy i rozrywki były w czasach, kiedy chodziłaś, babciu, do szkoły?

Gdy byłam małą dziewczynką, grałam najczęściej w klasy, zbijaka, chowanego, skakałam na skakance, a zimą zjeżdżałam z górki na workach wypchanych sianem.

Czym ludzie najczęściej się poruszali?

Ludzie w tamtych czasach najczęściej korzystali z rowerów, wozów konnych i motorów, ponieważ nie każdego było stać na samochód.

Czy pamiętasz, babciu, ile kosztował wtedy chleb?

W moim rodzinnym domu nie kupowało się chleba, zawsze moja mama piekła raz w tygodniu siedem dużych blach chleba, który starczał na cały tydzień. Przy robieniu chleba zawsze cała rodzina miała zajęcie, kolejno ugniatając ciasto.

Czy ludzie wtedy kupowali żywność w dużych ilościach?

Dawniej w sklepach nie było tak dużo towaru jak teraz. Ludzie oszczędnie kupowali jedzenie, żeby się nie marnowało. Gospodarze na wsi hodowali więcej drobiu, kaczek, gęsi i świń. Dzięki temu mieli

swoje zdrowe mięso, mleko i ziemniaki. Uprawiali też dużo warzyw, które przechowywane w piwnicach wystarczały na całą zimę.

Jak kiedyś, babciu, uprawiano pola?

W moich młodych latach ziemię najczęściej uprawiano końmi, a zboże rolnicy kosili kosą i już o czwartej rano wychodzili w pole. W późniejszych latach powstawały spółdzielnie rolnicze, w których można było wynająć sobie maszyny do koszenia zboża.

Co ludzie robili w wolnym czasie?

Czytali gazety, słuchali radia, ponieważ nie było telewizorów, dopiero parę lat później weszły w życie telewizory czarno-białe. Nie było także telefonów komórkowych, tylko był jeden telefon stacjonarny na wsi u sotyśa.

Jakie były pożądane sprzęty domowe?

Pożądanymi sprzętami domowymi były: pralka Frania, telewizor i lodówka, a w rolnictwie pożądanym sprzętem był ciągnik, maszyna do młócenia zboża i podstawowe sprzęty rolnicze.

Jacy ludzie wtedy byli dla siebie?

Sąsiedzi na wsi byli bardzo życzliwi, pomagali sobie wzajemnie w pracach polowych, a mimo ciężkiej pracy mieli czas, żeby spotkać się wieczorem, porozmawiać i się pośmiać.

Babcia swoje młode lata wspomina bardzo dobrze i miło. Mówi: „Mimo że czasy były ciężkie, jakoś wtedy łatwiej się żyło”.

Jestem dumny z pradziadka

Kuba Ostrzyniewski, klasa VII b

– wspomnienia babci Teresy Zaremby

Babciu, urodziłaś się w czasie wojny. Czy pamiętasz coś z tego okresu? A może rodzice ci opowiadali?

Urodziłam się w 1942 roku, więc z okresu wojny nic nie pamiętam, ale chętnie opowiem ci o wspomnieniach swojego taty.

Bardzo chętnie postucham. Zapowiada się ciekawy wieczór

6 sierpnia w 1939 roku, mój tata, a twój pradziadek Ignacy Napiórkowski dostał wezwanie na przeszkolenie wojskowe do twierdzy Modlin. W czasie ćwiczeń Niemcy napadli na Polskę. W walce o twierdzę Modlin żołnierze polscy widzieli, że przegrywają, i wywiesili białą flagę.

Dlaczego się poddali?

Żołnierzy polskich było bardzo mało, ale bardzo bohatersko bronili Modlina. Za to wojsko niemieckie, biorąc osoby walczące w Modlinie do niewoli, w uznaniu bohaterstwa żołnierzy polskich pozwolili im być w mundurach.

Co się dalej stało z żołnierzami?

Wywieźli ich w wagonach bydłowych. Jechali do miasta Dormagen nad Renem. Przez dwa tygodnie jechali na stojąco, bez ubikacji, bez siedzenia, bez łóżek. Żołnierzy wywieziono pod francuską granicę.

Wywieziono ich do obozów?

Wywieziono ich do stalagów¹. Było tam 10 tysięcy wojska polskiego. Mieszkali w barakach, w nich spali i jedli.

Co dostawali do jedzenia?

Jedzenie mieli pod przydziałem: kromkę chleba i niestodzoną kawę, a na obiad zupę z głąbów i liści kapusty. W stalagu był straszny głód i brud, nie myli się, wszystko było zawszone. Baraki nie były

¹ Stalag – w czasie drugiej wojny światowej niemiecki obóz jeniecki.

ocieplane, woda była tylko zimna. Za to bardzo ciężko pracowali na roli.

Co dalej działo się z pradiadkiem? Kiedy wrócił do domu?

W 1941 roku ojciec wrócił z niewoli do domu. Rodzice mieszkali w Chrościcach koło Sońska. Moja mama wzięta pod opiekę 12-letniego chłopca, był jeszcze mój mały, niepełnosprawny brat. W naszym domu był lazaret¹. Pokoje były zajęte przez Niemców, a mama z dwoma synami mieszkała w kuchni. Po powrocie z niewoli mój ojciec miał zrujnowane zdrowie. Wzrostu miał 180 centymetrów, a ważył 48 kilogramów. Do końca życia już nie odzyskał zdrowia. Chorował na układ pokarmowy. Po wojnie mój ojciec często był zapraszany do szkoły i opowiadał o niewoli niemieckiej.

Jestem dumny, że miałem takiego pradiadka.

¹ Lazaret – szpital polowy.

Chleb dla partyzantów

Marcin Palusiński, klasa VII b

– rozmowa z babcią Agnieszką Orzot

Osobą, z którą przeprowadzę wywiad, będzie moja babcia Agnieszka Orzot, która w tym roku skończy 73 lata.

Jak wyglądała szkoła w czasach, kiedy byłaś, babciu, w szkole?

Uczyliśmy się w budynku, w którym w czasie wojny stacjonowały wojska niemieckie. Warunki nauki były słabe. Pomoce w nauce ograniczały się do tablicy i kredy.

Ile osób liczyła twoja klasa?

Okolo 20 osób.

A jak wyglądała twoja nauka poza szkołą?

W tym okresie odrabiałam lekcje w domu przy lampie naftowej. Światło elektryczne było dopiero, jak chodziłam do szkoły ogólnokształcącej.

Co było ci potrzebne do nauki?

Zeszyt, podręcznik, pióro. Zamiast kalkulatorów było liczydło. Biblioteka w szkole była uboga i lektury czytaliśmy na lekcjach.

Jak wyglądała higiena w tych czasach?

Łazienek nie było, do mycia wystarczyło mieć miskę, mydło i wodę, którą wydobywano ze studni.

Czy były wtedy sklepy, jeśli tak, to jaką żywność można było w nich otrzymać?

Podstawowe produkty można było kupić w sklepie. Jednak minusem było to, że najbliższy sklep był oddalony trzy kilometry od naszego domu. W tej samej miejscowości znajdowała się też szkoła.

Jak spędzałaś z rodziną czas wolny?

Rodzina wspólnie czytała książki i wspominała czasy wojenne, z których się dowiadywałam, jak ludzie radzili sobie w czasie wojny.

My mieszkaliśmy przy lesie, w którym ukrywali się partyzanci. Moja prababcia piekła chleb, a starszy brat mojej babci nosił ten chleb dla partyzantów.

Co robiliście w szkole na przerwach?

Graliśmy w berka, śpiewaliśmy, a zwykle graliśmy w dwa ognie. Mieliśmy dostęp do pitki.

Jak wyglądało wychowanie fizyczne?

Jak było ciepło, to WF odbywał się na zewnątrz, ale jak było zimno, to w klasie, nie było wtedy sali gimnastycznej.

Jak wyglądało twoje śniadanie?

Składało się głównie z produktów gospodarstwa domowego, czyli jajek, serów, masła, drobiu i mięsa. Starsze rodzeństwo dbało o mnie, rodzina się nawzajem wspierała.

Czy ludzie obawiali się tego, że wojna znowu wybuchnie?

Każdy śledził, co się w okolicy działo, ludzie mieli straszne wspomnienia o wojnie i mimo ciężkich warunków cieszyli się z tego powodu, że wojna została zakończona.

Dziękuję za wywiad, to było ostatnie pytanie.

Proszę bardzo, miło było powspominać te czasy.

Moje życie było bardzo ciekawe

Mikołaj Rembecki, klasa VII a

– rozmowa z prababcią Stefanią Łebkowską

Jakie kiedyś były zabawy?

Jedną z najczęstszych zabaw była guma. Polegała ona na wykonaniu serii skoków przez gumę bez skuchy. Innymi popularnymi grami były klasy, kamienie.

Jakich przedmiotów uczono w szkole?

Takich samych przedmiotów jak dzisiaj: języka polskiego, matematyki, fizyki, chemii, a od piątej klasy języka rosyjskiego.

Czy na wsi się ciężko żyło?

Bardzo, trudno było zdobyć jedzenie, picie, nie było pieniędzy. Dopiero w latach 90. wieś zaczęła się rozwijać.

Jak oceniasz, babciu, swoje życie?

Uważam, że moje życie było bardzo ciekawe, szczególnie jak byłam dzieckiem.

Czy szkoły się bardzo różniły od dzisiejszych?

Moim zdaniem odmiennosc objawia się w tym, że kiedyś nie było sal gimnastycznych i łazienek, a ubikacje znajdowały się na dworze.

Jak dzieci spędzały czas po szkole?

Pomagały rodzicom w różnych pracach, a po pracy wychodziły bawić się na dwór.

Jakie stosowano kary w szkole?

Głównie uderzenie linijką, stanie w kącie z rękami do góry, występowanie przed całą szkołą na apelu.

Co dzieci robiły na przerwach?

Bawiły się w skakanie przez gumę i skakankę, grały w klasy, w chowanego.

Do jakiej szkoły poszłaś, babciu, po ukończeniu podstawówki?

Zawsze chciałam być lekarzem, więc do takiej szkoły się udałam, potem na studia medyczne.

Wojenne przeżycia

Wiktoria Rzepkowska, klasa VII b

– wspomnienia prababci Janiny Baranowskiej oraz cioci Danuty Karzetek i wujka Karola Karzetka

Wywiad przeprowadzony z jedną z najstarszych osób w mojej rodzinie, prababcią. W ramach projektu zapytałam, co pamięta z czasów wojny.

Prababcia zaczyna opowiadać trochę nie po kolei...

Wojna zaczęła się 1 września 1939 roku. Miałam siedem lat, dwa tygodnie wcześniej zmarł mój tata, wychowała nas tylko matka. Kiedy wojska niemieckie wkroczyły do mojej miejscowości Ślubowo w okolicach Gąsocina, karali ludzi za wszystko, za każdy kawałek jedzenia. Nie wolno było mieć nawet kawałka mięsa. W Gąsocinie przy skrzyżowaniu ulicy Płońskiej z ulicą Główną znajdował się areszt. Tam Niemcy bili polskich więźniów, żeby się przyznali, kto ubija świnie i ile mają mięsa.

Pewien pan z Cichaw, pan Kamiński, nie przyznał się do uboju świń. Został wywieziony na wozie do Świercz, tam go pobili do nieprzytomności. Nie przyznał się, ponieważ tego nie robił. Naprzeciwko naszego domu strzelili do niego i go zabili. Przed śmiercią zaśpiewał piosenkę „Sto lat niech Polska żyje”. U nas wyleciały szyby, jak strzelili. Potem na drzewie wypisali: „Zginął chłopak taki i taki”. Był bardzo dobrym człowiekiem – wspominał mój brat, musiał jechać wozem, bo przyszli do nas, żeby wziąć wóz. Musieli zaprząć konie, naciąć gałęzi. Położyli zastrzelonego mężczyznę na wozie, przykryli go tymi gałęziami i zawieźli do Świercz. Potem ciemną nocą przyjechali na cmentarz do Klukowa. Pochowany został na niepoświęconym miejscu w rogu cmentarza, tak by nikt nie wiedział, że został zabity. Jego bracia pojechali do Niemców we dwóch. Gdyby któregoś zabili, to drugi miał wrócić końmi do

domu. Niemcy powiedzieli im tak: „Pamiętajcie, jak przyznacie się, że to my zabiliśmy tego człowieka, to wy też tam pójdziecie”. Chłopcy byli wystraszeni, że jak przyjechali, to się cali trzęśli. Potem jak pochowali tego mężczyznę, to tu bez przerwy była rewizja. A u nas nie było tygodnia czy dnia, żeby nie było rewizji, bo oni myśleli, że tam w tych krzakach ubija się zwierzynę na mięso, a tam cudów nie było.

Znaleźli kawałek słoniny, to moją matkę wtedy tak stłukli, a my na boso staliśmy pod chlewem. Był listopad, już bardzo zimno, i pistoletem do nas mierzono, nie wolno było się obejrzeć ani ruszyć, ani nic powiedzieć. A oni tak tłukli matkę, że jak zemdląta, to wzięli ze studni wodę (proszę sobie wyobrazić, jak ta woda w zimę była zimna) i tą wodą ją zmoczyli. Potem zaczęli dalej bić i dopiero odżyła. Wsiedli w brykę, matkę zabrali i pojechali po taką woźnicę, Baranowska się nazywała. Potem zawieźli ich do Działdowa do aresztu, za ten mały kawałek słoniny, a my siedzieliśmy sami. Miałam siedem lat, różnica między rodzeństwem była trzy lata. My, dzieci, same siedziałyśmy w chałupie, tak się mocno baliśmy. Pamiętam jak dziś, było Boże Narodzenie (moja prababcia zaczyna płakać, ale mówi dalej), staliśmy w kątach i cały dzień przepłakaliśmy. Dopiero po świętach, kiedy zaczynała się wiosna, wojna podchodziła pod Działdowo, dopiero wypuścili ich wszystkich. Kto przeżył, to przyszedł, a kto nie przeżył, to tam został.

Moja mama szła z sąsiadką Baranowską (woźnicą), kiedy podeszły pod pierwszy front, to szli z rękoma w górze, że nic nie mają. Dopiero pytali, skąd idą, za co były w areszcie. O wszystko się wypytywali. Szły głodne, bo z Działdowa do Gąsocina jest około 80 kilometrów. Zaszły do ludzi, żeby dali im trochę jedzenia, to oni wygnali je stamtąd. Kazali iść, bo sami nie mieli co jeść. Ludzie też się bali. Kiedy dotarły do kolejnego frontu, też szły z rękoma w górze, żeby je przepuścili. Pokazały, że nic nie mają, i dopiero przeszły. Znowu zaszły do ludzi, po dłuższym przejściu, mówiąc, że wracają z więzienia i są głodne. Tam dopiero dostały jedzenie, najadły się

i dostały jeszcze kanapki i picie na drogę, żeby miały siłę wrócić do domu. Już bliżej naszych stron ludzie byli przyjaźniejsi, pomocni, ale oczywiście nie wszyscy.

Kiedy zauważyliśmy, że nasza matka idzie od strony lasu do domu, wybiegliśmy do niej. To moi bracia zanieśli ją na rękach do domu. No, takie było życie... marne było życie za Niemców, nie daj, Chryste Panie Boże, przeżyć. Ale przeżyliśmy wojnę. Każdy bał się tylko żandarmów.

Jak ja miałam 10 lat, to musiałam ciężko pracować w Ślubowie. Kopałam ziemniaki i buraki. Była taka koleżanka Jasia Żukowska, która nauczyła mnie, jak kopać buraki cukrowe na szpadlu. Tak mnie wyszkoliła, że jechałam jak na rowerze tym szpadlem. Później kartofle kopaliśmy. Boże, nie mogłam nadążyć za nimi, bo byłam tylko dzieckiem.

Wszystko było Niemców, cały folwark Ślubowo. Pole też było Niemców, oni tam gospodarzyli. Później, jak byliśmy starsi, wtedy zachorowałam i nie poszłam. To przytąpali moich braci. Poszli w krzaki wysikać się, był taki jeden, stary Rogalski, i powiedział, że Baczyńscy uciekli do domu. Jak szwaby przyjechali do domu, dali nam tak do wiwatu, że płakaliśmy w głos.

Jeden drugiego szczuł, jak tylko mógł.

To przeżycie było tragiczne dla nas i kiedy teraz przychodzi Boże Narodzenie, to ja muszę się wyplakać, bo ja mam to w głowie, że karali za byle co, za wszystko.

A później, pod koniec wojny, do nas front nadszedł i siedzieliśmy w piwnicy. Była taka piwnica na podwórku, kamienna, ocieplona. To my tam siedzieliśmy zamiast w domu, bo w chałupie się baliśmy. Powynosiliśmy tam pierzyny. Było tam dwóch braci, ja i siostra, bo reszta ukrywała się po świecie. Ukrywaliśmy się w tej piwnicy, bez światła. Siedzieliśmy po ciemku.

Mieliśmy taki zachowanek w domu, nad drzwiami, taka szuflada. Tam był cukier, bo jak kopaliśmy buraki, to dawali trochę cukru i się uciułało, a Niemcy, jak przyszli, otworzyli tę szufladę i szukali

papierów i pieniędzy. Pytali się o chłopca, gdzie jest. Matka odpowiedziała, że nie ma pieniędzy ani papierów. „A chłop gdzie jest?” – zapytali. „Nie żyje, umarł” – odpowiedziała. A oni łup ją w łeb, bo kłamie. Wzięli wszystko, wywalili na podłogę, złali wodą, zdeptali, zmoczyli cały ten cukier i już matkę zabrali do więzienia. Jeden drugiego macał po ramionach i płakał. Mówi, że to tragedia była.

Czy w tym czasie sąsiedzi pomagali, gdy byliście sami?

Tak, jeden drugiemu pomagał, litowali się nad nami. Jak mieli więcej chleba, to się z nami dzielili. Starsze babki przychodziły i nam gotowały jedzenie na kilka dni, bo byliśmy sami. Kiedy Niemcy odchodzili, szli Ruskie. To pamiętam, bo przyszli do nas, żeby dać im obiad. Wzięliśmy się za obieranie kartofli, ale oni nie chcieli, mówili, żeby tak w łupinach ugotować. Poprosili jeszcze do tego mleko, a że mieliśmy krowy, to jako tako, ale udoiliśmy. Najedli się i nam podziękowali, pogłaskali po ramieniu i powiedzieli: „Nie martwcie się, matka niedługo do was przyjdzie”.

Wtedy już był mniejszy strach, wyszliśmy z piwnicy, posprzątaaliśmy cały bałagan w domu.

Cała osada Niemców była w Ślubowie, w Gąsocinie stacjonował żandarm, to oni aresztowali i trzymali w areszcie u państwa Frączkowskich. Tam była komora i później wywozili do Działdowa.

Nie wolno było mieć mięsa, wygrażali się, że jak zobaczą jakikolwiek ubój czy mięso, to cała rodzina pójdzie do dołka. Zawsze było coś. Zabierali ludzi na okopy. Były sytuacje, kiedy kazali samemu sobie wykopać dół, a Niemcy go zabili i zakopali. Kolejka w Gąsocinie była budowana pod nadzorem Niemców. Jeździły tam pociągi.

Byłam świadkiem, jak leciał nad nami niemiecki samolot i zapalił mu się tył. Moje rodzeństwo i ja biegliśmy zobaczyć. Widzieliśmy, jak runął na ziemię. Widziałam, jak z tego samolotu spada damska ręka w czarnej rękawiczce i zawisała na drzewie – widziałam ją dobrze. Samolot spadł niedaleko torów w Gąsocinie w stronę Koźniewa Średniego. Najprawdopodobniej do dziś on tam leży zagrzebany w ziemi.

Jak mówiłam wcześniej, całe Ślubowo należało do Niemców. Tam w kościele był zrobiony magazyn złomu – broni. Wszystkie meble, krzesła, ławki, dosłownie wszystko zostało spalone. Nie było podłogi, nawet drzwi. Magazynowana była tam przeróżna broń. Kościół został wyszykowany po wojnie przez śp. księdza Władysława Stradzę. Do dziś są odprawiane w nim msze święte.

Opowiadała Janina Baranowska

**Poznałam również historię rodzonej siostry mojej drugiej
śp. prababci pochodzącej z Zawad w powiecie płońskim i jej męża,
który jest ze Śląska.**

W czasie okupacji Niemcy szukali, ponieważ chcieli zabrać mężczyzn. W naszej wsi mieszkały dwie rodziny niemieckie, kiedy usłyszeły, że wojna idzie, zaczęły się gromadzić w lesie. Zbierało się kilka rodzin niemieckich, bo przychodzili i z innych wsi. Rozmawiali i przekazywali sobie informacje, a kiedy ludzie się dowiedzieli o tym, to pamiętam, był taki jeden ciechanowianin, przyjechał tam do rodziny, latał i zbierał chłopów, żeby przepędzić tych Niemców, bo to szpiedzy, mówił. Przyszedł do nas do domu i chciał, żeby ojciec poszedł, ale mój ojciec powiedział, że nie pójdzie do nich. Zaczął mówić do taty: „Co z ciebie za Polak? Co z ciebie za patriota? Tu szpiedzy w lesie, a ty nie chcesz iść?”. Tata odpowiedział: „Nie, nie pójdę”. I nie poszedł.

A ci, co poszli przepędzić Niemców z tego lasu... Nie wiadomo, co oni im tam zrobili, w jaki sposób przepędzili. Rozeszli się do domów. W każdym razie poskarżyli się Niemcom. Zabrali tych mężczyzn i już nigdy nie wrócili. Zabili ich. A ten jeden nasz sąsiad, nie było go w domu, kiedy jeździli i zabierali tych chłopów, kiedy się dowiedział, że go szukają, to uciekł z domu. Całą okupację ukrywał się, spał po stodołach. A Niemcy przez cały czas przyjeżdżali do tego domu, żeby go zabrać, a ten poszukiwany człowiek poszedł do niemieckiej rodziny i ich przeproszał, prosił o wybaczenie, żeby

odwołali to wszystko. Odpowiedzieli, że niestety już jest za późno, to już jest w rękach policji i nic się z tym nie da zrobić. „Nie mamy już nic do gadania”.

W ostatnim roku wojny... To właśnie nie wiem, dlaczego nasz dom im zawsze się podobał. Jak we wsi ktoś się zjawił, to u nas zawsze mieszkali. Musieliśmy się w kuchni gnieździć, a pokój był dla Niemców, jak byli Ukraińcy, to był dla Ukraińców.

Pamiętam, Niemcy mieszkali u nas, wtedy były okopy. Ludzie pracowali i te okopy kopali, że jak będzie front szedł, to będą się bronić. W lesie są jeszcze te rowy. Ściągali ludzi z różnych wiosek i ci ludzie mieszkali u nas w stodole i spali tam. Dużo ich było. Co jedli, to nie wiem. Może jakiś suchy prowiant dostawali. Nie wiem.

Była taka sytuacja, gdzie sołtys zarządził spotkanie wszystkich mężczyzn na końcu wsi. Wszystkie kobiety szły z tymi mężami swoimi, z synami, no i ja też szłam ze swoją mamą. Mój brat miał 16 lat i też poszedł na te okopy, ale wtedy nie wiedzieliśmy, że idą na okopy, więc myśleliśmy, że ich zabiją czy co, może wywiozą do obozu. Potem dowiedzieliśmy się, że idą kopać okopy. Byli tam około miesiąca, może dłużej. Mój brat uciekł z tych okopów, a ojciec został do końca, a brata ukrywaliśmy. Pamiętam, że taki Niemiec, i to był Ślązak, umiał po polsku mówić, i do mojej siostry Irki (mojej prababci) mówił tak: „A gdzie masz swojego brata?”. Ona odpowiedziała: „Nie wiem, nie widziałam go”. Wtedy on ją uderzył w twarz. U nas to było nie do pomyślenia, żeby kobietę uderzyć, a on od razu w twarz ją uderzył, że kłamie, ale się nie przyznała, no i dali nam spokój, przestali nas nękać.

Tej niemieckiej rodzinie musieliśmy chodzić i zbierać ziemniaki, wszyscy, co mieszkali na wsi, dzieci i starsi. Wtedy miałam około 10 lat. Dla dzieci nie było szkoły, nie wolno było się uczyć. Wszystkie książki, zeszyty, kartki czy ołówki trzeba było zniszczyć, żeby nie mieć kłopotów. Szkoła była w Nowym Mieście, ale tylko dla dzieci niemieckich. W niektórych wsiach było tajne nauczanie, u nas w Zawadach nie było.

W sąsiedniej wsi Gutkowo byli młodzi ludzie i tam były zrzućy. I oni z tych zrzutów musieli sobie coś wziąć. Kiedy Niemcy dowiedzieli się, którzy to, zabrali ich pod gruszę, tam zwołali wszystkich ludzi ze wsi i na tym drzewie na oczach ludzi powiesili tych młodych mężczyzn.

Moich dwóch wujków zabili w Warszawie, bo chodzili i przez mur przerzucali jedzenie Żydom. Kiedy Niemcy to zobaczyli, zabili jednego z nich, a potem zginął mój drugi wujek.

Pamiętam, jak moja mama z rąbanką na plecach chodziła do Warszawy, żeby zarobić i coś potrzebnego do domu kupić. To szli tylko nocami, mieli ustalone miejsca do spania w dzień. Zdarzyło się, że Niemcy ich gonili, bo chodzili grupami. To, co mieli na plecach, wszystko zrzucali i uciekali. A Niemcy sobie to wszystko wzięli. Nie mieliśmy ubrań, nie można ich było nigdzie kupić, ponieważ sklepy były tylko dla Niemców. Ubrania sami sobie robiliśmy. Mama robiła nam z lnu, a my je farbowaliśmy. I zawsze mieliśmy piękne, kolorowe bluzki czy sukienki.

Jak już rosyjskie wojsko szło przez nasze podwórko, to pamiętam. Była noc, a my siedzieliśmy w kącie na podłodze z dala od okna, bo na dworze strzelali. W oknie widziałam kule ognia, jak strzelali. Wtedy tak się bałam, a mój tatuś powiedział: „Nie bój się, te kule są ponad naszym domem, nas nie dosięgną”.

Kiedy było powstanie warszawskie z naszej wsi było widać, jak Warszawa się pali. Mimo odległości, która dzieliła Warszawę od Zawad – było to około 80 kilometrów, u nas we wsi było widać czerwoną łunę ognia na niebie.

Opowiadała Danuta Karzętek

Przechodzimy teraz do opowieści wujka. Jak to było na Śląsku?

Śląsk został przyłączony do Rajchu¹, a ja jestem ze Śląska Cieszyńskiego. To dzięki plebiscytowi² należał przed wojną do Polski. Ale Niemcy właśnie w 1939 roku, po napadzie na Polskę, Śląsk przyłączyli do Niemiec i tam tych ludzi, Ślązaków, traktowali trochę inaczej niż tu, w Polsce.

Jak to się zaczęło 1 września?

Miałem siedem lat, miałem iść do szkoły. Zamiast szkoły zaczęła się wojna. Przez pewien czas nie chodziłem do żadnej szkoły, a potem otworzyli szkołę, ale niemiecką. Początkowo uczyli nas polscy nauczyciele, którzy znali język niemiecki. Z tym że dzieci po niemiecku nie umiały, mówiły po polsku. Ale powoli, powoli dukaliśmy na lekcji. Później sprowadzili niemieckich nauczycieli i oni tylko po niemiecku mówili. I tak skończyłem cztery czy pięć klas, bo to były niepełne lata. Na lekcjach dzieci mówiły po niemiecku, a już na przerwie mówiliśmy po polsku. Jeżeli nauczyciel usłyszał, że ktoś nawet w czasie przerwy odezwał się po polsku, to była kara, a karą była biktisz, od „biktisz” – schył się, schył się i parę razy takich ciosów kijem, a kijów to nauczyciel miał dużo, a szczególnie kierownik – schulleiter. Tak się odbywała nauka w szkole, w czasie okupacji na Śląsku.

A co zaobserwowałem? To pierwszy dzień września, to było na samej granicy czeskiej, Polacy mieli Zaolzie, wtedy zajęte, no ale przyłączyli do Polski. Zaolzie rok wcześniej – w 1938 roku – Niemcy mieli zajęte Czechy i niedaleko armia czeska była, także szybko wkroczyli w tym dniu we wrześniu. Wkroczyli tam na Śląsk, ja nie widziałem żadnego żołnierza niemieckiego na oczy, tylko widziałem polskich żołnierzy, którzy z Zaolzia tam wycofywali się grupami. No i niemiecki samolot nad nimi tak blisko nadlatywał, a oni nastawili

1 Rajch – Rzesza Niemiecka, po zajęciu Polski przez Niemcy w 1939 roku część jej terytorium została przyłączona bezpośrednio do Niemiec. Określano to jako włączenie do Rajchu.

2 Plebiscyt – planowe głosowanie ludności w celu wypowiedzenia się o przynależności państwowej.

karabiny maszynowe, do tego samolotu, ale bez strzałów się obyło. To było w Jastrzębiu-Zdroju, tam gdzie jest teraz kopalnia Manifest. Ja tam mieszkałem z rodzicami. Tak wojna szła, tylko wiadomości do mnie dochodziły, jak daleko Niemcy są, co w Rosji, co zajęli, jak w Afryce, bo ludzie to sobie przekazywali.

Koniec wojny to już w 1945 roku. Niedaleko nas jest Oświęcim, obóz koncentracyjny. Myśmy nic nie wiedzieli, co to jest ten obóz koncentracyjny i kto tam jest, ale w styczniu częściowo ewakuowali i przez Jastrzębie przechodziły grupki więźniów, prowadzone przez esesmanów. Niemcy nocowali w domach, a ci jeńcy... Obornik, który był przed oborami, to tak rozgarniali, żeby było ciepło, i w ten obornik nogi powiązane i pobandażowane wkładali. I tak ich prowadzili na zachód, kto już nie mógł iść, to go zastrzelili i zostawiali, a grupa szła dalej. To tu dopiero oczy się ludziom otwierały, co to jest, bo w czasie wojny w Zebrzydowicach – stacja dosyć znana – był taki barak, tam byli Żydzi. Ludzie jadący pociągiem do Cieszyna, to ci Żydzi, pracownicy, wyczekiwali przed pociągiem, czekali, żeby im tam coś ludzie rzucili. To wiem, że siostra zawsze robiła kanapki, chleb ze smalcem zawinięte w gazetę, takie porcje. Siedzieli w pociągu, jak pociąg stanął – nic, a jak pociąg ruszył i już odjeżdżał – to te kanapki rzucali tym Żydom. To też wiem z opowiadania, jak to wyglądało.

W 1945 roku to był już koniec. Rosjanie zajęli wcześniej Warszawę, Kraków, wyzwolili Oświęcim i zatrzymali się, tak prawdę mówiąc ze dwa kilometry od nas. Zatrzymał się front niemiecki. Tak stali z sześć tygodni, bo to już była czeska granica, Brama Morawska. Berlin już padł, a tam Niemcy jeszcze stali.

Widziałem bezpośrednio działania wojenne. W kilka rodzin byliśmy w piwnicy u sąsiada. Jednego razu poszliśmy w dzień do domu naszego, to był taki ostrzał, to nazywali stalinorgiel – czyli takie armatnie godzinowe detonacje, wymiana.

W tym czasie, kiedy byliśmy w domu, zerwało dach, zrobiło się bardzo jasno. Jak się skończyły przygotowywania artyleryjskie, to

dopiero poszliśmy. Ten cały czas przesiedzieliśmy w domu. Wychozimy z domu, a na podwórzu trzy konie, trupy. Rannych wozem zabierali Niemcy. W tym domu, w którym ja mieszkałem, była pomoc medyczna, to ich tam bandażowano. No to słyszałem te krzyki i jęki.

Przez te sześć tygodni obserwowałem, a to moździerz za stodołą, Niemców, jak bili za linię frontu. Wielkie armaty były na Pawłowice – też znana miejscowość z czasów wojny. Były czasami bombardowania. Często dowiadywaliśmy się, że ktoś zginął w Sybilii. Jeszcze tak charakterystyczne było jedno – że w czasie tych działań wojennych i że ten front tak blisko był, to Niemcy chcieli nas ewakuować, żebyśmy uciekali. Razem wójt i jeszcze tacy esesmani byli u nas i kazali nam się wynosić, ale oficerka niemiecka, wojskowa, nam odradzała. Mówiła: „Po co? I na co? To i tak my to się tylko bronimy, bo już wiemy, że przegraliśmy, ale żeby się dostać do niewoli na zachód”.

Potem jednego razu w nocy Niemcy uciekali, wycofali się, ale też niedaleko, też jakieś dwa kilometry dalej tylko już na obecnej czeskiej granicy na rzece Olzie. A nas ewakuowano, akurat mieszkaliśmy tam, gdzie jest teraz kopalnia Manifest.

Bardzo ciężko przeżywałem, jak latały samoloty, bo jednego razu nadleciały i bomby puszczały, jedna na podwórko u nas spadła. Leje takie wielkie po tej bombie zostały i jeszcze trochę u sąsiada. Wtedy zginęła taka staruszka, ponieważ wolno biegła, kiedy uciekali. Nie nadążała za młodymi.

Ludność na Śląsku była posegregowana. Byli rajsdójcze – czyli Niemcy, folksdójcze, trójka – to byli tacy ni pies, ni wydra. Nas zaliczyli do tych „ni pies, ni wydra”. To wszyscy chodzili do szkoły, ale byli tacy, co dostali czwórki – czyli rdzenni Polacy, ale też do szkoły musieli chodzić. Wszystkie dzieci chodziły do szkoły niemieckiej.

Czy byłeś naocznym świadkiem zabicia człowieka?

Naocznym świadkiem nie byłem, ale wiem, że były takie pokazówki w Cieszynie, np. była taka sytuacja, że jednego razu pozamykali szkoły, zakłady pracy, a ludzie musieli iść na taką pokazówkę

egzekucji. Dwudziestu czterech Polaków powiesili na oczach ludzi. I to za co? Niektórzy tam należeli do jakiś związków antyniemieckich, ale m.in. takiego powiesili, co pracował w urzędzie niemieckim jako folksdojcz¹. Za to, że dał jednej rodzinie, która była zaliczona jako P (Polak to nie dostał kartki żywnościowej), a on dał im tę kartkę żywnościową. No to była masakra całkowita. Oprócz tego było słychać, że tego zabili, tego do więzienia zabrali, tego aresztowali. Dużo ludzi aresztowano. Były też wypadki, że w piwnicach siedzieli partyzanci, to ich Niemcy zlikwidowali.

Opowiadał Karol Karzętek

¹ Folksdojcz – mieszkaniec przedwojennej Polski, który zadeklarował narodowość niemiecką w czasie drugiej wojny światowej.

Największym przysmakiem były owoce

Wiktoria Ślesik, klasa VII a

– wywiad z babcią Barbarą Skibniewską

Urodziłam się w Zawadach w 1936 roku. Miałam ośmioro rodzeństwa. Gdy wybuchła wojna, miałam trzy lata. Do Gąsoscina przeprowadziłam się, gdy poznałam swojego przyszłego męża.

Zdawałaś sobie sprawę z tego, co się dzieje? Rodzice rozmawiali z tobą na temat wojny?

Byłam jeszcze mała, więc rodzice nie uświadamiali mi, co się dzieje, ale jak dziś pamiętam wszystkie wybuchy.

Jako dziecko w co najczęściej się bawiłaś?

Nie bawiłam się sama, ponieważ mieszkałam w małej wsi, gdzie wszyscy się znali, dlatego też miałam dużo kolegów i koleżanek. Często bawiliśmy się w chowanego, ukrywając się po podwórkach, w berka czy też zbijaka. Większość naszych zabawek była wykonana własnoręcznie, np. piłki ze starych szmat lub lalki.

Jak wyglądał wasz dom?

Składał się z dwóch pomieszczeń. W jednym znajdowała się kuchnia, a drugi pokój służył za sypialnię, chociaż tak naprawdę mama kładła nas, gdzie tylko mogła. Dodatkowo u każdej rodziny spało kilku Niemców. Nie jedli tego, co przygotowała nasza mama. Obok nas, u sąsiadów, mieli kuchnię wojskową, gdzie gotował im kucharz. Najczęściej była to zupa grochowa.

Czym przed wojną zajmowali się twoi rodzice?

Zajmowali się gospodarstwem, nie było zbyt duże, miało około dwóch hektarów. Mieliśmy krowy, świnie, kury i gęsi. Mieliśmy również pola uprawne, na którym m.in. rodzice sadzili ziemniaki.

Czy pomagałaś rodzicom?

Oczywiście, wypasałam krowy, pilnowałam gęsi czy też pielłam kartofle. Później, gdy podrosłam, rodzice wysyłali mnie do pracy, żebym pomogła w utrzymaniu rodziny. Wraz ze swoim rodzeństwem chodziłam na żniwa i wypasałam krowy. Pamiętam również zimowe wieczory, kiedy wraz z mamą obskubywaliśmy gęsi z piór. Gdy wszystkie były oberwane, mama wypełniała nimi pościel.

Czy podczas drugiej wojny światowej łatwo było zdobywać jedzenie?

Większość jedzenia pochodziła z naszych pól, ale nie było to takie kolorowe. Za czasów panowania Niemców na gospodarstwa były nałożone kontyngenty¹. Była to część naszego dobytku gospodarczego do oddania Niemcom. Gdy przykazali zabić świniaka, stawiali na nim stempel. Gdy ktoś go sfatšzował i dowiedzieli się o tym, żołnierze przychodzili do rodziny i zabijali każdego.

Co dla dzieci było największym rarytasem? Co najczęściej w twojej rodzinie jadano?

Pamiętam, jak moja mama co tydzień piekła świeży chleb, często jedliśmy kaszę lub ryż na mleku. Mięso zaś wieszano nad piecem i suszyło albo okładało solą w wielkich beczkach, gdyż nie było lodówek. Nikt dawniej nie pomyślałby, że będzie coś takiego jak słoďycze. Wtedy największym przysmakiem były owoce. Dawniej drzew owocowych się nie sadziło. Gdy ktoś spotkał np. jabłonkę, od razu zrywał wszystkie owoce, żeby potem zjeść je ze smakiem. Bardzo ciężko było je dostać.

Czy w twojej wsi znajdował się sklep?

Tak, był mały sklepik. Złożył go pan w swoim domu prywatnym. Były tam podstawowe rzeczy, takie jak pieprz, sól, drożdże czy marmolada. Nad drzwiami, nad wejściem, był dzwonek. Gdy ktoś wchodził, rozchodził się dźwięk i dopiero wtedy właściciel przychodził.

¹ Kontyngenty – obowiązkowe dostawy produktów rolnych oraz hodowlanych (m.in. zboże, mięso i mleko) pobierane np. przez rząd III Rzeszy w okresie drugiej wojny światowej na terenie okupowanej Polski.

Czy po wojnie dużo się zmieniło?

Myślę, że nie bardzo, ponieważ później przyszli do nas Rosjanie. Panowała straszna bieda. Choć można było już uczęszczać do szkoły, nadal było ciężko.

Czy pamiętasz, babciu, gdzie znajdowała się szkoła i jak wyglądała?

Szkoła znajdowała się w dawnym folwarku. Średnio klasy liczyły po 40 osób. Pamiętam, że były wyposażone w długie ławki, w których mieściło się średnio 10 osób i znajdowały się miejsca na kałamarze. Ja byłam dość młoda. W klasie były osoby mające po 14 lat.

Jakie przedmioty miałaś, babciu, w szkole?

Miałałam historię, biologię, geografę, polski, matematykę, gimnastykę, muzykę. Często w szkole były organizowane różne przedstawienia. Moim ulubionym przedmiotem była matematyka, bardzo lubiłam tabliczkę mnożenia.

Czym różni się dzisiejsza młodzież od tej z czasów wojny?

Myślę, że dzieci były bardziej towarzyskie. Za moich czasów wszyscy spotykali się, rozmawiali i bawili. Teraz, gdy wyjrzę za okno, nie widzę żadnej młodzieży, jak ktoś już idzie, to korzysta z telefonu. Przez to brakuje im kontaktu z innymi.

Jakie zdarzenie najbardziej utkwilo ci w pamięci?

Pamiętam, kiedy Niemcy wycofywali się z naszych terenów, zaczęli oddawać strzały, to moja siostra wzięła mnie za rękę i zaczęłyśmy uciekać, lecz nie wiedziałyśmy gdzie, a kule tylko przelatowały nam nad głowami. Rodzice nie wiedzieli, gdzie jesteśmy, i bardzo się o nas zamartwiali. Przypomina mi się również sytuacja, gdy wraz z koleżanką podkradałyśmy Niemcom ciastka z wojskowej kuchni znajdującej się na sąsiednim podwórku. Myślę, że nie licząc wojny, dzieciństwo miałam naprawdę udane. Nie dało się nudzić, zawsze było co robić, dzięki temu łatwiej było wejść nam w dorosłość.

W niemieckiej niewoli

Bartosz Świącki, klasa VII b

– wspomnienia babci Teresy Pokorskiej

W ramach programu Akademia Młodego Obywatela zrealizowanego przez Fundację Edukacyjną Jana Karskiego miałem przeprowadzić wywiad z jedną z najstarszych osób w mojej miejscowości. Gdyby mój pradziadek żył, przeprowadziłbym wywiad z nim, ale ponieważ nie ma go z nami, postanowiłem porozmawiać ze swoją babcią, która jest młodszą niż mój pradziadek, ale doskonale zna rodzinne opowieści.

Babciu, o kim mi opowiesz?

Bartku, opowiem ci o twoim pradziadku, Marianie Baczyńskim, który urodził się w 1909 roku w powiecie pułuskim. Pochodził z dużej rodziny i był najstarszy z rodzeństwa.

Co się stało ważnego, kiedy jeszcze żył?

Jego życie przebiegało normalnie, jak życie każdego młodego człowieka. Chodził do szkoły, spotykał się z przyjaciółmi, bawił się. Był radosnym młodym człowiekiem. Gdy miał 30 lat, wybuchła druga wojna światowa. Pradziadek został powołany do wojska, ale już drugiego dnia jego służby w bitwie pod Garwolinem polskie wojska przegrały i żołnierze zostali wzięci przez Niemców do niewoli.

Jak wyglądała niewola?

Przez pierwszy miesiąc w Prusach obok Ostródy byli trzymani pod gołym niebem. Dostawali do jedzenia surową brukiew i zupę pokrzywową. Cierpieli z głodu i pragnienia, a nocami marzli, mimo że było lato i dni były ciepłe, to noce były zimne. Pradziadek coraz bardziej tęsknił za domem, bliskimi i bał się o ich los.

A co było dalej, po tym miesiącu niewoli?

Żołnierze niemieccy zabrali niektórych Polaków, w tym pradziadka, do Niemiec. Podróż odbyli w wagonach towarowych. Jechali

do pracy na gospodarstwie rolnym. Pracował tam przy koniach, krowach i w polu za kiepskie wyżywienie. Były to przymusowe roboty. Pradziadek wspominał je z wzruszeniem i jakimś dziwnym niepokojem. Na pewno osłabł fizycznie, gdyż ubogie jedzenie niszczyło organizm, do tego dochodziła ciężka praca. Jednak najgorsza była tęsknota za rodziną. Niepewność o jutro i niewiedza o tym, co z nim będzie.

Jak długo to trwało?

Trwało to całą wojnę, czyli do 1945 roku.

Jak dziadek wspominał człowieka zarządzającego tym wszystkim?

Był to miły niemiecki rolnik, który szanował pradziadka i chciał, żeby ten został i poślubił jego córkę. Jednak dziadek miał dziewczynę w Polsce, tęsknił za ojczyzną i rodziną.

A co było po zakończeniu wojny?

Po zakończeniu wojny twój pradziadek wrócił do Ślubowa. Następnie po półrocznym pobycie z rodziną wyruszył na Ziemię Odzyskaną. Znalazł tam dobre gospodarstwo, w którym przebywali Niemcy o nazwisku Rybke. Po miesiącu musieli się wyprowadzić. Mogli z sobą zabrać jedynie 25-kilogramowy bagaż. Potem pradziadek wziął ślub ze swoją wybranką Zofią i żyli długo i szczęśliwie.

Dziękuję, babciu, za te opowiadanie. Nie wiedziałem, że mój pradziadek miał tak trudną młodość. Wojna zniszczyła jego plany, ale wszystko skończyło się dobrze. Poznał wielu ludzi, a przede wszystkim przyczynił się do wolności i niepodległości Polski.

To są żelazne fakty

Julia Wesotowska klasa VII a

– rozmowa z sąsiadem Bolesławem Sobczykiem

Kiedy pan się urodził i czym zajmowali się pana rodzice?

Urodziłem się 19 stycznia 1947 roku w Olbrachtowicach, położonych w województwie dolnośląskim. Moi rodzice byli rolnikami. Gospodarstwo mieli dosyć duże. W tamtych czasach zamożne.

Czy jako dziecko miał pan jakiś ulubiony przedmiot w szkole? Jakich przedmiotów nauczano?

Przedmiotów nauczano takich jak teraz, czyli: języka polskiego, matematyki, fizyki, geografii, historii, rysunku, języka rosyjskiego, WF-u. Moimi ulubionymi były: język polski, historia, geografia, WF i fizyka. Szczególnie lubiłem historię. Pamiętam, że gdy zjeżdżali się zawodnicy na Spartakiady Dolnego Śląska – takie konkursy – zajmowałem drugie, trzecie miejsce w konkursie historycznym. Nieraz nawet ścinałem profesorów, bo tak miałem ją wyuczoną. W moich czasach uczono o Psim Polu¹, o Krzywoustym. Pamiętam, że Niemcy składali sprzeciw w sprawie Psiego Pola, że tej bitwy wcale nie było, bo oni nigdzie w dokumentach nie mają tego spisane. Jednak w szkole uczono, że historia to historia, to są żelazne fakty i nic ani nikt tego nie może zmienić.

Do szkoły przestałem chodzić w 1964 roku, ale gdyby ktoś mnie obudził w nocy i spytał o coś związanego z historią lub geografią, to sypałbym bez przerwy. Spotkałem się ostatnio z tym, że niektórzy piszą maturę i nie potrafią tabliczki mnożenia. W tamtych czasach było to nie do pomyślenia. Był taki nacisk na naukę, że każdy umiał takie podstawowe rzeczy. Nie było tak, że przelecieli temat – umie

1 Bitwa na Psim Polu – jedna z bitew wojny polsko-niemieckiej w 1109 roku na terenach dzisiejszej dzielnicy Wrocławia pomiędzy wojskami księcia polskiego Bolesława III Krzywoustego i króla niemieckiego Henryka V. Bitwa zakończyła się wielkim sukcesem polskiego oręża.

lub nie umie – i lecieli dalej. Ciągłe wracano do niezrozumianego tematu i wałkowano go aż do skutku. Uczniowie mieli ogromny szacunek do nauczycieli i jeśli profesor coś mówił, to tak miało być i nie podlegało to dyskusji. Zawsze witali i żegnali się z osobą starszą. Nikt nie wstydził się wtedy mówić „nasza pani”, „nasz pan”. Kierowniczka szkoły mogła już iść na emeryturę, ale były czasy powojenne i brakowało nauczycieli. Ona miała 79 lat i jeszcze uczyła. Jednak gdy wzywała kogoś do siebie, bo coś przeszkobał, to łapała za włosy i ciągnęła do góry, aż człowiek musiał wstać, tzy stawały w oczach, ale nikt się nie odważył odezwać.

W jakim wieku kończyło się szkołę podstawową?

Jeśli uczeń nie zdawał do następnej klasy, to powtarzał ją jeszcze dwa lata. Jak kończył szkołę, to miał 17–18 lat, a kończąc bez powtarzania, miałby 14–15 lat.

Czy daleko miał pan do szkoły?

Do szkoły miałem dwa kilometry. Zacząłem podstawówkę, jak miałem siedem lat. Chodziłem wtedy pieszo z kilkoma znajomymi (chyba w ośmioro). Razem szliśmy i razem wracaliśmy. No, chyba że ktoś został po lekcjach, to trzeba było powiadomić rodziców i matka czy ojciec wychodzili po niego. W szkole było jakieś 120 dzieci. Przychodziła do szkoły pielęgniarka i sprawdzała każdemu włosy. Nie było takich środków czystości jak dzisiaj, ale było szare mydło i to w zupełności wystarczyło do utrzymania higieny. Jednak jeśli ktoś zaniedbał głowę i pielęgniarka coś dojrzała, to przychodził nauczyciel z maszynką do włosów i ścinał przez środek cały pas włosów. Nie było rady. W domu trzeba było ściąć się na tyso.

W szkole zakazane było ubieranie się wyzywająco i wyróżnianie z tłumu. Tłumaczono to tym, że szkoła to nie pokaz mody i każdy powinien chodzić skromnie ubrany. Nie jak teraz, jedna z dziurawym kolanem, druga jeszcze inaczej. Wtedy to było niedopuszczalne.

Czy po szkole ponadpodstawowej łatwo było znaleźć pracę?

Gdy ktoś ukończył szkołę techniczną, od razu miał przypisany zawód. Tak jak np. w moim przypadku. Ja skończyłem technikum

górnictwo, zdobyłem zawód młodszego górnika i miałem od razu dobrze płatne stanowisko.

Już po kilku latach pracy przychodzili do mnie młodzi ludzie (bo ja już później byłem mistrzem górniczym) i mówili, że oni od razu chcą zarabiać tyle, co ja. Mówię mu: „Chwila, chłopie, ja przepracowałem 33 lata, a ty dopiero przyszedłeś, a już chcesz tyle zarabiać?”. Jaka jest niecierpliwość na te pieniądze. Trzeba chwilę poczeekać i zapracować na tę kwotę. Jeszcze za czasów, gdy pracowałem w górnictwie, płacono talonami, więc było jeszcze inaczej niż dziś.

Wspominał pan, że skończył szkołę górniczą. Czy mógłby pan powiedzieć coś na ten temat więcej?

Była to zawodowa szkoła górnicza przy kopalni Sośnica w Gliwicach. Ukończyłem ją z wynikiem bardzo dobrym. Miałem nawet skierowanie do technikum, ale wtedy miałem już prawie 18 lat, świat się wydawał taki piękny, dobrze się wtedy zarabiano, więc poszedłem od razu po szkole do pracy. To nie było tak, że trzeba było szukać zatrudnienia po szkole. Wtedy, jeśli to była szkoła zawodowa, to z automatu każdy dostawał pracę w zakładzie. Czyli ja akurat w kopalni.

Zacząłem tam pracować, piąć się po szczeblach. Najpierw zostałem górnikiem, później strzałowym. Trzy lata do tej szkoły chodziłem. Była to szkoła z internatem. Bardzo fajnie się tam mieszkało. Gliwice to piękne miasto. Mieści się tam wiele uczelni wyższych. Świetnie się tam mieszkało. Mieszkałem bardzo blisko stadionu Górnika Zabrze. Kiedyś Górnik Zabrze, Legia Warszawa i Śląsk Wrocław były jednymi z lepszych zespołów. Kina, kawiarnie. Człowiek dobrze zarabiał, więc mógł sobie pozwolić, by wszędzie chodzić.

W pobliżu mojego miejsca zamieszkania znajdowała się jednostka wojskowa. Bardzo fascynowali mnie polscy żołnierze, że powiedziałem: „Idę do wojska, zobaczę, jak to tam jest”. Udało mi się. Wysłali mnie do szkoły podoficerskiej w Brzegu. Tam byłem pół roku. Stamtąd przerwali mi do jednostki wojskowej do Skwierzyny. Po dwóch latach moja miłość do wojska odeszła. Ciągłe

na baczność. Człowiek, jak pracuje, to ma luz. Idzie do pracy, a po pracy jest królem samego siebie. W wojsku rano jest do dyspozycji, w południe do dyspozycji, wieczorem do dyspozycji. Bo jakieś warty, służby. Zrezygnowałem. To nie dla mnie.

Później zacząłem pracę w kopalni w Sobótce. Sobótka to piękna miejscowość, miasto uzdrowiskowe, tam cały Wrocław przyjeżdżał, gdy miał wolne. W piątki przez Sobótkę trudno było przejść. Było tam dużo atrakcji, takich jak kino na świeżym powietrzu, potańcówki – zespół, parę desek, oświetlenie – i ludzie się bawili dookoła. No i tej młodzieży to kilkadziesiąt tysięcy się zbierało. Wspaniale, mnie się podobało.

Przez te kilka lat pracy w górnictwie zostałem odznaczony Brązowym, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi. Ci, co uważali, i ci, co pilnowali zdrowego rozsądku, to żyją, przeżyli pracę w kopalni tak jak ja. Bo trzeba ciągle myśleć, nie to, co ktoś mówi, tylko to, co ja uważam, bo ja tam pracuję. Jeżeli ktoś z tytu przyszedł i mi się mądrzył, to wykonywałem demonstracyjny gest ręką i prosiłem bardzo – ja popatrzę sobie, jak to będziesz robił. I już rozmowa zakończona. Ktokolwiek by to był. Mieliśmy wspaniałą dyrekcję, mądrą, mądrych ludzi. Było dwóch dyrektorów przez te 21 lat, którzy znali swoją załogę, a załoga liczyła sześć tysięcy ludzi. Jak zacząłem pracować, było tam 42 tysiące ludzi.

W 1999 roku poszedłem na emeryturę. Mieszkaliśmy z żoną w Głogowie jeszcze dwa lata. Zateśkniliśmy za wnuczkami, które tu mieszkają. Przyjechaliśmy do Łopacina i do dnia dzisiejszego tu siedzimy. Żyje nam się tu dobrze, co będzie dalej, to się okaże. Bardzo lubię wspominać dawne czasy. Lubiałem swoją pracę i lubię o niej opowiadać. Dzisiejszą młodzież może to fascynować.

O zakupach w PRL-u

Maria Wieluńska, klasa VII b

– wywiad z babcią Jadwigą Wieluńską

Przeprowadziłam wywiad z moją babcią Jadzią, która urodziła się w 1949 roku. Kiedy przyszedł weekend, wybrałam się do jej domu.

Jak wyglądały zakupy w PRL-u?

Żywność była sprzedawana na kartki, przed sklepami ciągnęły się kolejki. Brakowało jedzenia i ludzie walczyli między sobą o jego zakup. Był Pewex, czyli taka sieć, w której można było kupić towary z zagranicy. Za te kartki mogliśmy kupić m.in. mleko, mąkę i mięso, a po wprowadzeniu stanu wojennego – czekoladę, benzynę i alkohol. Nawet buty można było kupić na kartki. Nie pytało się, czy te buty się komuś podobają, ważne było to, że są. Po niektórych rzeczy trzeba było stać w nocnej kolejce. Ludzie zapisywali się na listę, która była co jakiś czas sprawdzana. Stali tak całą noc, aż do otwarcia sklepu. Najtragiczniejsze było to, że wchodząc do sklepu po zakupy, widzieliśmy tylko puste półki. Stał na nich tylko ocet, ale i ten zniknął, gdy nastał sezon przetworów. W sklepach mięsnych były tylko puste haki, nie było żadnego mięsa czy wędlin, a jeśli się już pojawiło, to ludzie stali w bardzo długich kolejkach.

Babciu, a w jakie zabawy bawiły się dzieci?

Chłopcy grali w kapsle, a my z innymi dziewczynami w klasy. Bawiliśmy się też w chowanego i graliśmy w gumę.

A w którą grę najbardziej lubiłaś grać?

Ja najbardziej lubiłam grać w chowanego.

Jak wyglądała telewizja w tamtych czasach?

Zawsze rano oglądaliśmy „Teleranek”, była też bajka pod tytułem „Jacek i Agatka”. Dawniej telewizory nadawały filmy czarno-białe, a dopiero później w kolorze. W kolejne dni tygodnia były programy

dla dzieci, np. w poniedziałek oglądałam „Zwierzyniec”, a w czwartek „Ekran z bratkiem”. Pamiętam też proponowaną przez telewizję akcję „Niewidzialna ręka”, w której ramach młodzi ludzie pomagali starszym, np. rąbali drzewo, sprząтали podwórka czy przynosili wodę. Telewizja była takim oknem na świat, ale filmów, np. amerykańskich czy angielskich, było bardzo mało. Najczęściej wyświetlano filmy radzieckie. W pamięci utkwił mi film „Lecą żurawie”, który opowiadał o wielkiej, ale nieszczęśliwej miłości.

A jakie miałaś, babciu, zwierzę?

Wychowałam się na wsi, moi rodzice hodowali krowy, konie, świnię i kozy. Miałam też psa Rekxa, który przeżył 13 lat.

Jakie były oceny w szkołach?

Dawniej w szkołach najgorszą oceną była dwójka, a najlepszą piątka. Tydzień szkolny w tamtych czasach trwał sześć dni. Do szkoły chodziliśmy nawet w sobotę. Nikt nie myślał, że będzie inaczej. Potem co jakiś czas pojawiały się soboty wolne od nauki, aż wreszcie zupełnie zrezygnowano z nauki w sobotę. Wreszcie można było odpocząć, bo do tej pory byliśmy zmęczeni. Oprócz nauki pomagaliśmy przecież rodzicom.

Bardzo ci dziękuję, babciu, za wywiad. Miło mi się z tobą rozmawiało. Dzięki tobie wiem, że czasy komunizmu w naszym kraju nie były wcale łatwe ani piękne. Cieszę się, że mogę żyć w wolnej ojczyźnie.

Dziadka poznałam na dyskotecce

Bartosz Wroński, klasa VII a

– rozmowa z babcią Hanną Wrońską

Dzień dobry.

Witam.

Kiedy się urodziłaś?

Urodziłam się w 1952 roku.

Co kiedyś się robiło? Jakie były wtedy czasy?

Gdy byłam mała, to mama mnie przewijała w pieluchy flanelowe, bo na inne nie było pieniędzy. Prała je na tarze w balii, gotowała pieluchy w kotle, żeby były czyste. Jak podrosłam, miałam sześć lat, pomagałam rodzicom – pastam krowy po miedzach, bo mało było łąk. Rodzice kosą kosili trawy i grabiami je przewracaliśmy i grabiliśmy w kopki. Były później składane, kładzione na wóz i przewożone. Wozy kiedyś były na żelaznych kołach i ciągnięte przez konie. Zboża kosiło się kosą, sierpem¹, zbierało się i związywało w snopki. Później się stawiało stogi w rzędy, żeby można było wozem przejechać, a potem te snopki ze słomą wstawiało się do stodoły.

Jaka wtedy była waluta?

Dawne 100 złotych to teraz 1 grosz.

A ile kosztował chleb?

Chleb... nie pamiętam, ale bułka kosztowała 8 albo 10 groszy.

A ile się płaciło za wodę?

Wtedy za wodę nic się nie płaciło, bo przed domem była wykopana studnia. Na łańcuchu było wiadro, które się opuszczano i którym nabierało się wody. Wiadro się wyciągało, a wodę gotowało.

A w jakim wieku wyszłaś za mąż?

Wyszłam za mąż, gdy miałam 20 lat.

A z czego się utrzymywaliście?

Sprzedawaliśmy krowy, byki i świnię. Za jednego byka braliśmy na tamtą walutę kilka milionów. I chodziłam na zarobek – pielłam buraki i zbierałam ziemniaki na nasze utrzymanie. I tata pracował.

A pamiętasz może jakieś historie z wojny, np. swoich rodziców?

Tak, mój tata w wieku 24 lat został zabrany na roboty do Niemiec i trafił do amerykańskiej armii. Pamiętam też, jak mama mi opowiadała, że była dwa razy wywożona do obozów. Za pierwszym razem uciekła, nie wiem jak. Opowiadała też, że za drugim razem powiedziała, że idzie za potrzebą, a tak naprawdę poszła za stogi i uciekła.

Czy pomagałaś swoim rodzicom?

Tak, pomagałam przy żniwach, zbiorze kartofli i ogólnie, gdy potrzebowali pomocy.

Jak wyglądała wtedy szkoła?

Były dwa budynki: jeden po starej poczcie, a drugi we dworze, w którym mieszkał hrabia Baur i który po jego śmierci zmieniono w szkołę, a pomieszczenia w klasy. I kiedyś nie było dyrektorów, tylko byli kierownicy szkoły.

Czy lubiłaś chodzić do szkoły?

Tak, ale najgorsze było to, że jedna lekcja była w tym dworze, a na drugą trzeba było iść pół kilometra.

Czy nudziło ci się?

Nie, bo nawet nie było czasu się nudzić, bo jak wracałam ze szkoły, to teczkę się kładło i szło się pomagać rodzicom w polu. A jak tata pojechał do pracy, to musiałam pomagać mamie przy bydle.

Jak i kiedy poznałaś dziadka?

Na zabawie, bo chodziło się na tzw. dyskoteki, grał jeden grajek i chodzili tam chłopacy i dziewczyny. Tam się tańczyło i właśnie wtedy poznałam twojego dziadka. Chodziliśmy razem przez sześć lat i wzięliśmy ślub.

Dziękuję za wywiad.

Dziękuję.

¹ Sierp – ręczne narzędzie rolnicze do prac żniwnych.

„Szlśmy do sąsiadów pomóc, a potem oni robili to samo dla nas. Wszyscy robiliśmy to na zasadzie sąsiedzkiej pomocy i życzliwości”.

„Z okresu mojego dzieciństwa pamiętam naloty samolotów niemieckich, których bardzo się bałam”.

„W tamtych czasach bardzo ciężko było z kupnem ubrań. Starym ubraniom naszywano łaty”.

„U nas w domu nie było radia ani nawet zegara. Godziny określaliśmy na podstawie położenia słońca na widnokręgu”.

„Największy strach poczuliśmy, gdy Niemcy wkroczyli do naszego domu w poszukiwaniu partyzantów”.

„Ludzie mieli wielki szacunek do Kościoła, chleba i siebie nawzajem. Nic się nie marnowało, bo i niewiele było”.

„Niestety, lęk przed wojną pozostał we mnie do teraz i jeżeli słyszę jakieś nieporozumienia będące w kraju, zaczynam się obawiać”.

GÓRZNO

„Z racji, że była bieda, dzieci często nie miały butów”.

„Wszyscy byli dla siebie uprzejmi i każdy sobie wszystko pożyczał. Najczęściej pożyczano sobie formy do chleba lub nafty”.

„Kiedy wracaliśmy ze szkoły, piliśmy kawę zbożową i jedliśmy chleb, ponieważ nie było nic innego do jedzenia”.

„Ciężką pracą były wykopki. Wszyscy uczniowie mieli wtedy wolne od nauki, bo musieli pomagać gospodarzom w zbieraniu ziemniaków”.

„Godzinami staliśmy w kolejkach przed sklepem, żeby cokolwiek dostać”.

„Lubiłam też z innymi dziećmi chodzić nad pobliski mały staw, ponieważ woda była tak czysta, że znajdowały się w nim raki, które potem bardzo uważnie obserwowaliśmy”.

Cały czas się baliśmy, że nas zabiją albo okradną

Jakub Bożek, klasa VII b

– opowieści wojenne Stanisławy Kubiak, siostry pradziadka

Wacława Bożka, na podstawie wywiadu z Włodzimierzem

Kubiakiem, jej synem

Gdy zaczęła się druga wojna światowa, we wrześniu 1939 roku, miałam 17 lat, a mój brat Wacław, twój pradziadek, 20 lat. To był bardzo trudny dla nas okres. Mieszkaliśmy tutaj, w drewniaku w Sobolewie. Było nas dokładnie cztery osoby, rodzice: Stanisław Bożek z żoną Józefą Bożek, Wacław Bożek i ja, ponieważ jeszcze nie wyszłam za mąż. Mieliśmy dwa pokoje, główną izbę z piecem kaflowym, a także sypialnię, w której spaliśmy. Było nam tutaj dobrze, choć nie było wielkich luksusów.

O wojnie dowiedzieliśmy się, kiedy wojsko polskie przyjechało do twojego prapradziadka i zabrano mu konia. Wtedy już wiedzieliśmy, że będzie wojna. Przez całą wojnę nikogo nie straciliśmy z tego domu, jedyna strata osobowa z tej rodziny to mój brat, którego Niemcy zabrali do Stutthofu, czyli obozu koncentracyjnego nad morzem. Tam zginął. Była to dla mnie wielka strata. Podczas okupacji zawsze mieliśmy jedzenie. Nie było mięsa, lecz zawsze były ziemniaki, i my się na nich wychowaliśmy. Sami piekliśmy też chleb. Głodu podczas wojny u nas nie było. Głód dla nas nastał dopiero za czasu komuny.

Podczas okupacji w naszym regionie bardzo aktywnie działały Bataliony Chłopskie¹, Armia Krajowa i Armia Ludowa. Działalność BCh obejmowała: propagandę, szkolenie, wywiad i czasami akcje bojowe. Twój pradziadek Wacław w latach 1940–1944 należał do osady BCh Sobolew i był odpowiedzialny za grupę ludzi należących do Batalionów

¹ Bataliony Chłopskie (BCh) – konspiracyjna organizacja zbrojna polskiego ruchu ludowego licząca około 170 tysięcy osób.

Chłopskich w Sobolewie. A ja rozdawałam gazetki propagandowe ośmieszające Niemców. Należeliśmy do konspiracji, ale nie wysadzaliśmy pociągów, robiliśmy propagandę, uczyliśmy historii, namawialiśmy do kombinowania przeciwko Niemcom.

Niemcy żądali, żeby im oddawać przymusowe kontyngenty ze swojego gospodarstwa: w zbożu, ziemniakach, krowach, świniach. A my zachęcaliśmy do lekkiego kombinowania, żeby przetrwać w tych trudnych czasach. Na przykład żeby nie oddawać świń, tylko mówić, że zachorowała i padła. W ten sposób można było zostawić ją dla siebie.

W naszym domu znajdowała się placówka przerzutowa prasy podziemnej. Mieliśmy takie chusty, które służyły za torby i nosiliśmy je na pasie. Ja pewnego razu zostawiłam taką chustę w sieni. Akurat przywieźli z Garwolina propagandę i nie zdążyłam jej schować. I tego samego dnia ktoś powiedział Niemcom lub też Niemcy mieli jakieś podejrzenia, ponieważ przyszli przeszukać nasz dom. Przeszukali wszystko poza chustą, która leżała w sieni na ławce, a w której były te gazetki propagandowe. Gdyby na to spojrzeli, nie byłoby nas tutaj. Ciebie, mnie, twojego taty i nikogo z naszej rodziny.

W Sobolewie mieszkało wielu Żydów, może nie tak dużo jak w Żelechowie, ale było ich wielu. Przyjmijmy, że było 500 osób mieszkańców, z czego jedna piąta, czyli około 100 osób, to byli Żydzi. Stosunki z ludnością żydowską układały się przed wojną dobrze. Niektórzy nawet chodzili ze mną do szkoły i byli moimi kolegami i koleżankami. Mieszkańcy Sobolewa w czasie wojny pomagali Żydom, nie zdarzały się sytuacje ich wydawania, choć wiedzieli o ich kryjówkach w lasach. W Sobolewie na terenie boiska obok szkoły ustanowiono getto dla Żydów, skąd następnie zostali wywiezieni pociągami do obozu śmierci w Treblince. Było to coś strasznego dla Polaków.

Wojna była bardzo trudnym momentem w moim życiu. Zawsze była obawa, strach, lęk. Baliśmy się, że Niemcom może coś się nie spodobać i mając karabin, to nas po prostu bez sądu, bez powodu zabiją.

Gdy Niemcy zaczęli się wycofywać, a Rosjanie zbliżać, twój prapradziadek wykopał okop za stodołą i musieliśmy się w nim ukrywać.

W okopach była nasza czwórka i parę dzieci z domu obok, ponieważ ich ojca zwerbowano na kolejarza i pomogliśmy się im uratować. Podczas tych wydarzeń żołnierze rzucali do budynków granaty, przez co dużo domów zaczęło stawać w płomieniach, a ludziom odrywało kończyny. Twój prapradziadek, który był kiedyś w wojsku carskim i nawet wystąpił na wojnę japońską (ale uciekł, jak tylko ogłosili mobilizację), wiedział, że nie można ukrywać się w domu, dlatego kazał nam chować się w tym okopie. Do naszego domu też wrzucili granat, ale przez to, że nasz dom był wiele razy odnawiany wapnem, kiedy rzucili granat, zamiast zapalić się, wapno stłumiło ogień, przez co mogliśmy tam mieszkać resztę wojny. Kiedy leżeliśmy w tych okopach, sam komendant niemiecki kazał nam iść w przeciwną stronę do wojsk niemieckich, które szło od strony wschodniej, ale tutaj były zwierzęta krowy, świnie i nie mogliśmy stąd iść.

Niemcy obok szkoły mieli swoją komendę, którą – gdy zbliżał się front – bombardowali Rosjanie. Lecz Niemcy też się odpłacali Rosjanom. Pewnego razu, jak Rosjanie opanowali Sobolew, Niemcy rzucili bombę w szkołę prosto w pokój z pielęgniarkami, w którym było około 20 rosyjskich pielęgniarek. Wszystkie zostały zabite. Z okazji tego, że szkoła była 500 metrów stąd, to i u nas mur z cegły na zewnątrz pękł w pół, a w środku ściana oderwała się od drugiej. Było to bardzo straszne przeżycie. Sam wybuch był jednym z najgłośniejszych w moim życiu.

Gdy front rosyjski objął Sobolew, Rosjanie w naszym domu zrobili sobie komendę, a my musieliśmy przenieść się do budynku obok. Przez to, że Rosjanie mieli tutaj tę komendę z radiostacją, byliśmy inaczej traktowani, lecz to nie było traktowanie w stylu, że wszystko, co chcieliśmy, to mieliśmy, tylko raczej coś takiego, że zabierali nam mniej i nie zabijali.

Podczas wojny byłam zbuntowaną dziewczyną i jak chcieliśmy iść do kościoła, to tylko raz tygodniowo i musieliśmy iść na komendę do takiego generała i on z nami szedł do tego kościoła. Aczkolwiek generał nie znał skrótów i szliśmy zawsze trzy-cztery kilometry drogą. I pewnego razu ten rosyjski generał się zagapił i my, wierzący, postanowiliśmy pójść

do domu skrótami i kiedy byliśmy już w domu, to zasapany generał przyszedł do nas i krzyczał, że mógł przez nas umrzeć i co my zrobiliśmy.

Podczas wojny strasznie baliśmy się, że im się coś uwidzi i nas zabiją albo okradną. Był to bardzo straszny okres mojego życia. Później skończyła się wojna i przyszedł czas komuny, ale nie wiedzieliśmy, że z jednej niewoli wpadamy w drugą.



Bohaterka mojego opowiadania Stanisława Kubiak.



Rodzice Józefy Babik, Józef i Rozalia Babikowie.

Po wigilii spaliśmy smacznie na sianie

Kacper Garbula, klasa VII b

– wywiad z dziadkiem Kazimierzem Wołoszynem

Postanowiłem przeprowadzić wywiad ze swoim dziadkiem Kazimierzem Wołoszynem, który obecnie mieszka w Szarowoli w województwie lubelskim. Mój dziadek urodził się 15 maja 1950 roku. Umówiłem się z nim na rozmowę telefoniczną. Bardzo się ucieszył, że chcę z nim przeprowadzić wywiad.

Dziadku, czy możesz mi powiedzieć, jak wyglądał twój dom rodzinny?

Doskonale go pamiętam, bo przypomina mi moje dzieciństwo. Był nieduży, miał dwie izby (pokój, kuchnię), przedpokój i spiżarnię, którą nazywaliśmy komorą. Mieszkało nas w nim ośmioro. Miałem pięcioro rodzeństwa. Niestety, nie mogłem liczyć na własny pokój. Wyobraź sobie, że w jednym łóżku spało nas kilkoro. Ale ciepło wspominam gwar i radość, które panowały w naszym domu.

A może mi powiesz, jakie były twoje ulubione potrawy?

Wszyscy jedliśmy to samo, czyli najczęściej barszcz, kapuśniak i ziemniaki. Od święta były bułka, parówka i paszтетowa. Do tej pory czuję zapach pieczonego chleba żytniego, który robiono raz w tygodniu. W niedzielę daniem obiadowym były pierogi z kaszą i jabłkami.

Wydaje mi się, że cały czas chodziliście głodni?

Wcale nie, bo wszystkie potrawy były bardzo syte i przede wszystkim zdrowe.

Dziadku, a czy chętnie chodziłeś do szkoły? Chciałeś się uczyć?

Bardzo lubiłem szkołę i byłem ciekawy świata. Mieściły się w niej dwie sale lekcyjne, a pozostali uczniowie kształcili się w różnych przybudówkach. Na przykład przy oborze.

Co najbardziej pamiętasz ze szkoły?

Utkwiły mi w pamięci tablica i plansze o przymiotniku i rzeczowniku. Dobrze też pamiętam wskaźnik z biski orzechowej, który nosił przy sobie nauczyciel. Byłem dobrym uczniem i ten przyrząd nigdy mnie nie dotknął. Służył nie tylko do pokazywania czegoś, ale też do dyscyplinowania uczniów, tzw. batów w rękę.

A pamiętasz coś przyjemniejszego ze szkoły?

Oczywiście wycieczki, najczęściej do lasu. Zbierało się wtedy grzyby i jagody dla nauczycieli, „dla pani do dzbanka”. Organizowaliśmy zabawę choinkową i teatryki, na które przychodzili mieszkańcy wsi. Szkoła podstawowa kończyła się na klasie siódmej i żegnaliśmy ją piosenką „Uptywa szybko życie” (w tym miejscu dziadek zanucił mi refren).

Z tego, co wiem z rozmów z mamą, po siódmej klasie dalej się uczyłeś.

Oczywiście, wyobraź sobie, że nauka była dla mnie wyzwaniem i przepustką do lepszego życia. Uczyłem się w szkole średniej w Jarosławiu, a mieszkalem w internacie w budynkach klasztornych. W tym czasie zapisałem się do orkiestry dętej i uczyłem się grać na trąbce. Jak przyjedziesz, to dam ci specjalny koncert. Zobaczysz, jaki z dziadka dobry muzyk.

Na pewno skorzystam, szkoda, że ja nie przepadam za tego typu muzyką. W mojej obecnej szkole organizuje się różne projekty, akcje.

Czy w dawnej szkole też tak było?

Pewnie, że tak. Na przykład „Każdy kłós na wagę złota”. Polegało to na tym, że młodzi ludzie wychodzili po żniwach w pole i grabili lub zbierali kłosa. Często pomagaliśmy w żniwach ludziom samotnym. Nie uwierzysz, ale w tamtych czasach pamiętaliśmy o ekologii, chociaż to słowo nie było modne. Szkoły organizowały akcję sadzenia drzew przy drodze. Dokładnie pamiętam i widzę drzewa, które sam zasadziłem (są większe ode mnie). Ciężką pracą były wykopki. Wszyscy uczniowie mieli wtedy wolne od nauki, bo musieli pomagać gospodarzom w zbieraniu ziemniaków.

Dziadku, a może pamiętasz, jak spędzałeś swój czas wolny?

Czasu wolnego miałem niewiele. W lecie razem z kolegami bawiłem się w wojsko. W lesie mieliśmy zbudowany bunkier. Był on naszą tajną kryjówką i bazą. Nasza drużyna często organizowała niewidzialną pomoc starszym. W zimie, zawsze obfitującej w śnieg, budowaliśmy Wielki Pałac Zimowy. Wyglądem przypominał igloo bez dachu. Jeździliśmy też na sankach. Urządzaliśmy bitwy na śnieżki.

Dziadku, a jak w dawnych czasach wyglądały święta?

Gdy byłem małym chłopcem w Wigilię mój dziadek przynosił ze stodoły „króla” („król” to snop zboża) i stawiał go w rogu pokoju. Cały stół był przykryty sianem i leżał na nim obrus. Siano leżało również pod stołem (na tym sianie smacznie spaliśmy po wieczery). W całym domu na podłodze leżała słoma.

To chyba była atrakcja dla dzieci?

Ależ oczywiście, byliśmy przeschęczeni!

Czy coś jeszcze utkwiło ci w pamięci?

Pamiętam jeszcze odpusty w Krasnobrodzie. Około 15 kilometrów pokonywałem pieszo, często bez butów (niosłem je w rękę). Po mszy kupowałem cukierki i odpustowe szczyпки. W drodze powrotnej zakupione słodczyce zjadałem, wydzielając je na poszczególne odcinki drogi. Inaczej również wyglądała pierwsza komunia święta. Od północy nie mogłem nic jeść. Komunie przyjmowali sami chłopcy (około 75 osób) w starym drewnianym kościele w Tomaszowie Lubelskim. Po mszy pod kościołem siostry zakonne przygotowały uroczyste śniadanie (herbatkę i ciasteczka). Wszystkim to bardzo smakowało. Nie było tak jak dziś uroczystości ani prezentów.

Cieszę się, dziadku, że udzieliłeś mi wywiadu. Dziękuję za poświęcony czas. Dowiedziałem się sporo o twoim dzieciństwie.

Cała przyjemność po mojej stronie. Prawdę mówiąc, trochę się wzruszyłem, wspominając dawne czasy.

Wojenna tułaczka

Gabriela Gładysz, klasa VII b
– historia pani Krystyny Knapik

Pani Krystyna Knapik urodziła się 1 lutego 1931 roku w polskiej rodzinie, w Szmitkowie w powiecie Sokal. Miała dwie starsze siostry: Albinę Joannę i Marię Czesławę. Razem z całą rodziną mieszkała w dworcu, ponieważ jej ojciec był dyrektorem ekonomicznym dóbr hrabiego Jana Platera. Jak na tamte czasy mieli doskonałą sytuację finansową ze względu na stanowisko ojca pani Krystyny.

Pani Krystyna opisuje swoje dzieciństwo jako niezwykle udane. Jako małe dziecko miała swoją ulubioną porcelanową lalkę z zamykanymi oczami, którą wspomina do dziś. Przez trzy lata pani Krystyna chodziła do ochronki (tak nazywało się dawniej przedszkole), która znajdowała się na głównym dworze hrabiego Jana Platera. Ulubionymi zabawami w ochronce były „kółko graniaste” i „stary niedźwiedź mocno śpi”.

W 1937 roku rodzina przeprowadziła się do Puław, ponieważ we wcześniejszym miejscu ich zamieszkania dochodziło do dużych nieporozumień na tle etnicznym. „Sytuacja była nie do zniesienia, a mój tata dostał pracę w Instytucie Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa, ze względu na to moi rodzice postanowili się przeprowadzić” – mówi pani Krystyna. Wprowadzili się do wynajętego mieszkania przy ulicy Kazimierskiej.

Do szkoły powszechnej w Puławach pani Krystyna poszła w 1937 roku. Zeszyty były w kratkę, trzy linie i czyste. Pisało się wtedy stalówkami, ołówkami kopiającymi i zwykłymi.

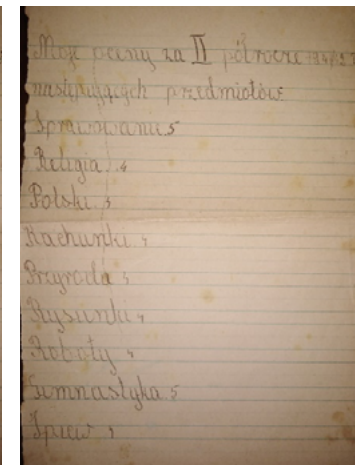
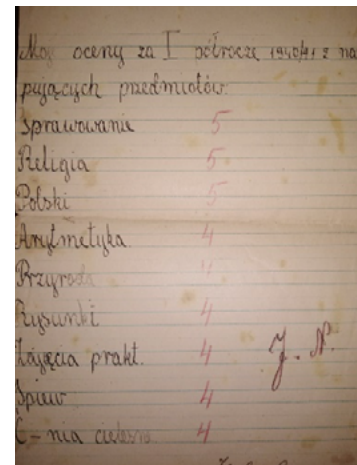
Pani Krystyna wspomina, że do szkoły obowiązkowo chodziło się w pantoflach, na które mówiło się ciapy, trzeba było też chodzić w mundurkach. Dawniej do szkoły tak jak dziś nie można było się malować, a włosy musiały być zawsze związane kokardą. Obowiązkowo również na ramieniu trzeba było mieć tarczę z numerem szkoły. Do szkoły powszechnej chodziło się sześć lat, cztery lata do gimnazjum i dwa lata do liceum ogólnokształcącego.



Stalówka i ołówek kopiający.



Świadectwo szkolne polsko-niemieckie i polskie pani Krystyny.



Kartka z ocenami pani Krystyny.



Odznaczenia i pamiątki Krystyny Knapik.

Pani Krystyna podkreśla, że jej dzieciństwo było cudowne do września 1939 roku, ponieważ wtedy rozpoczął się istny koszmar. Na pięć lat od 1939 roku została pozbawiona dzieciństwa. 29 sierpnia 1939 roku ojciec pani Krystyny jako pracownik starostwa dostał rozkaz przewiezienia dokumentów z Puław do Rumunii, gdzie miała być siedziba rządu polskiego. Rodzina dostała podwozy (furmanki), którymi wyjechała z Puław 29 sierpnia 1939 roku. Jechali przez Wąwolnice, Nałęczów do Lublina. W Lublinie 2 września zaczęło się bombardowanie. Rodzina musiała uciekać. Szli pieszo i doszli do Zamościa. Ojciec pani Krystyny odszedł spełnić rozkaz, a matka i siostry pani Krystyny wraz z nią samą zaczęły pieszo wracać do Puław. Po drodze zatrzymywały się u gospodarzy z dobrymi sercami, którzy przyjmowali ich z gościnną. Gdy szły, musiały się chować w rowach, żeby ich nie złapano.

Pod koniec września wrócili do Puław, gdzie przywitał je hałas samolotów bombowych, krzyki ludzi i straszny wojenny widok. Gdy już schroniły się w jednym z budynków, Niemcy wydali rozkaz: albo młodzię podejmie naukę w szkole, albo dostanie pracę, a wszyscy bezrobotni byli natychmiast odsyłani na tzw. roboty do Niemiec. „Moja rodzina i tak miała bardzo duże szczęście” – mówi pani Krystyna. Druga starsza siostra pani Krystyny chodziła do szkoły, a najstarsza pracowała, dlatego jej

rodzina nie musiała się ukrywać, ale przy rewizjach jak każdy inny musieli uważać. Mieszkańcy wsi pomagali sobie nawzajem jak tylko mogli, niektórzy przynosili mleko, inni pieczywo, ale mimo to pani Krystyna cały okres okupacji określa jako koszmar. Jej rodzina dostawała marmoladę (z brukwi, dyni, marchwi i buraków) w 10-kilogramowych puszkach. Pani Krystyna wspominała również, że jako dziecko, gdy smarowała sobie butkę masłem, to z jednej strony robiła sobie dziurkę – tak żeby mama nie widziała – i wkładała tam wszystko, co było lepsze.

Podczas okupacji, gdy ojciec pani Krystyny pracował w starostwie, kontaktował się z Niemcem, który również tam pracował. Bardzo pomagał rodzinie pani Krystyny. Fałszował metryki urodzenia, tak by dziewczynki nie przekraczały 16. roku życia, ponieważ od 16. roku życia trzeba było iść do pracy. A kiedy żołnierze zorientowali się, że on pomagał Polakom, to wysłali go na front wschodni i tak dostał się do niewoli. Z niewoli pisał do ojca pani Krystyny. Z Puław były wysyłane listy z prośbą o jego uwolnienie, ponieważ – jak twierdzi pani Krystyna – naprawdę na to zasługiwał.

Rewizje w domach były obowiązkowo raz w miesiącu. „W jednym z pokoi pod podłogą była wykopana dziura, a tam było schowane radio, codziennie reszta rodziny słuchała audycji, mi nie wolno było tego słuchać, ale ja, jak to ja, zawsze o wszystkim wiedziałam” – wspomina pani Krystyna. Któregoś dnia w zimę pani Krystyna dostała za zadanie zawieźć na sankach puszkę marmolady. I rzeczywiście na wierzchu była marmolada, lecz pani Krystyna domyśla się, że była tam również broń, ponieważ – jak powiedziała – „to było tak straszliwie ciężkie, że na sto procent to była broń”. Miała dowieźć to półtora kilometra w kierunku Kazimierza, gdzie na nią czekały już matka i jej koleżanki. Któregoś dnia do domu rodziny pani Krystyny przyszedł tzw. granatowy policjant i kazał zasłonić okno od strony ulicy i powiedział, że jeżeli tylko poruszy się firanka albo zasłona, to należy spodziewać się, że budynek będzie obstrzeliwany. Ale mama pani Krystyny pozwoliła patrzeć, ale tak, żeby tylko nie ruszyć. Wtedy Żydzi mieszkający w Puławach byli zapędzani do obozów koncentracyjnych.

W 1943 roku pani Krystyna uczęszczała na tajne komplety, które odbywały się niedaleko domu pani Krystyny w mieszkaniu przedwojennej polonistki. Przychodziło się tam bez zeszytów i tornistrów, bo zostawiało się je pod stertą węgla, żeby nie wzbudzać podejrzeń, nie można było też przychodzić tam grupowo, obowiązkowo trzeba było pojedynczo. Rodzice pani Krystyny bardzo chcieli, żeby ich dzieci były dobrze wykształcone, dlatego właśnie zapisali panią Krystynę na te zajęcia.

W 1944 roku wyrzucono rodzinę pani Krystyny z Puław, ponieważ nadchodził front, który zatrzymał się na pół roku. Był to tzw. przyczółek puławski, zginęło wtedy przeokropnie dużo żołnierzy rosyjskich i polskich. Puławy były doszczętnie zniszczone, w ponad 70 proc., ponieważ przez cały czas były ostrzeliwane z wszystkich stron. Rodzina pani Krystyny schroniła się w miejscowości Żyrzyn, później w Żerdzi. Najstarsza siostra pani Krystyny dostała czerwonki¹. W stodole, w której się zatrzymali, nocowało około 100 osób i to był ciężki czas, ponieważ wszyscy mogli się rozchorować, ale z pomocą przyszła rosyjska lekarka. Przyniosła syrop i już po dwóch dawkach siostra pani Krystyny poczuła się dużo lepiej, i wyzdrowiała. Z Żerdzi przenieśli się następnie do Baranowa. Tam decyzją podziemnych władz oświaty zostało uruchomione gimnazjum w szkole podstawowej. W styczniu 1945 roku przenieśli się do Puław. Wkrótce, zdarzyło się coś, na co wszyscy czekali – wojna się zakończyła. „Kiedy w 1945 roku zobaczyłam pierwszego polskiego oficera, to ja się mu na szyję rzuciłam. To była taka wielka i nieopisana radość, ale nigdy nie zapomnę tego koszmaru, który mnie spotkał” – podsumowuje pani Krystyna. Po tych wszystkich wydarzeniach ułożyła sobie życie i do tej pory mieszka w Puławach. Pani Krystyna dołączyła też do Solidarności.

Mam nadzieję że historia pani Krystyny Knapik napisana przeze mnie spodobała się wam tak samo jak mnie, a nawet bardziej. Te wydarzenia uczą nas, że Polska zawsze była w sercach Polaków i że o niej pamiętali. Jestem naprawdę zaszczycona, że mogłam wysłuchać tej historii i ją spisać.

1 Czerwonka – ostra choroba zakaźna jelit, której objawem jest uporczywa biegunka i obecność krwi oraz śluzu w stolcu. Nieleczona prowadzi do śmierci.

Miałam lalkę z guzikami zamiast oczu

Wiktoria Gruszczyńska, klasa VII b

– wywiad z babcią Zofią Gruszczyńską

Zofia Gruszczyńska podzieliła się ze mną wspomnieniami z dzieciństwa.

Jak wyglądało życie codzienne, gdy byłaś dzieckiem?

Była bieda, jednak każdy sobie pomagał. Wszystko bardzo się liczyło. Nie marnowało się tyle jedzenia, co w dzisiejszych czasach. Wszystko było cenne. Mimo biedy dzieci chodziły do szkoły.

Jak wyglądała wtedy edukacja?

Każdy uczeń miał obowiązek noszenia fartuszka, kołnierzyka białego i tornistra. W szkole klasy były łączone. Było dosyć dużo przedmiotów, lecz jednym, który najbardziej zapamiętałam, było czytanie książek, bardzo go nie lubiłam. Były również przedmioty takie jak: matematyka, polski, biologia. Do szkoły chodziło się na 8:00, a wychodziło z niej najczęściej około godziny 15:00.

Czym zapisywaliście wtedy notatki?

Pisaliśmy stalówkami, które maczało się w atramencie. Często, gdy ktoś nabrał zbyt dużo atramentu, robiły się kleksy.

Czy daleko miałaś do szkoły, jak do niej dojeżdżałaś?

Do szkoły miałam trzy kilometry, nie mieliśmy bryczki ani żadnego wozu, do szkoły szłam na piechotę razem ze swoimi rówieśnikami. Gdy wracaliśmy ze szkoły grupami, często były jakieś potyczki o to, kto jest silniejszy. Przez taką zabawę porwałam sobie szkolny fartuszek. Ach, ile było przy tym ubawy.

Jeśli chodziłaś z kimś do szkoły, to znaczy, że miałaś przyjaciółki?

Tak, miałam ich wiele najlepszymi były Danusia i Stasia.

Super! Jak spędzałaś wolny czas?

Najczęściej bawiłam się ze swoimi siostrami i koleżankami w wojnę. Była to świetna zabawa.

Opowiesz mi o niej dokładniej?

Pewnie, zabawa polegała na strzelaniu oraz chowaniu się w lesie. Byłyśmy podzielone na dwa zespoły: jeden zespół chował się wszędzie, gdzie się dało, niektórzy nawet wchodzili na drzewa, a drugi zespół go szukał i jak kogoś znalazł, udawał, że do niego strzela.

Bawiłaś się też w inne zabawy?

Tak, drugą taką superzabawą był palant. Rzucano się patykami we wbity drut w ziemię, czasami zdarzało się, że ktoś przypadkiem dostał takim patykiem.

Niesamowite! Po szkole miałaś jakieś obowiązki?

Oj tak, miałam sporo obowiązków, lecz najczęściej pasłam krowy, zbierałam zielsko dla zwierząt, np. dla świń. Musiałam paść krowy nawet w niedziele, było to obowiązkowe. Zawsze po żniwach zwierzęta pasło się bez żadnych sznurów czy łańcuchów. Często wychodziłam z nimi pod las, żeby je napaść. Jediną frajdą z pasienia krów było bujanie się na drzewach. Zarzucaliśmy na drzewa łańcuchy od krów i kładliśmy na to jakąś derkę, to była taka nasza huśtawka. Gdy pasłyśmy krowy na polach, często zbierałyśmy kwiatki i plotłyśmy wianki lub warkoczki.

Jak się wtedy ubierano?

Z racji, że była bieda, dzieci często nie miały butów. Dlatego gdy przychodziliśmy z lasu, mieliśmy, całe nogi poharatane i czerwone od krzaków. Wkładało się ubrania znoszone po starszych osobach.

Co się wtedy jadło?

Żywność wtedy była zróżnicowana. Najczęściej gotowało się z tego, co się miało w domu. Obiady były gotowane na parę dni, dopiero gdy coś się skończyło, gotowaliśmy następne. U nas mama często gotowała barszcz, pyzy i popuniki.

Miałaś jakąś ulubioną potrawę?

No jasne, moja ulubiona potrawa to były kluski z mąki pszennej. Były przepyszne, gdy robiła je mama lub babcia.

Musisz mi kiedyś takie zrobić, a tak wracając do tematu, to co robiłaś wieczorami?

Wieczorami odrabiałam lekcje. Dopiero po całym dniu się tym zajmowałam. Było już wtedy ciemno, dlatego jako światło służyła mi lampa naftowa. Lecje odrabiałam sama, czasami zdarzyło się, że pomogła mi babcia lub siostry. Po odrobieniu lekcji przypatrywałam się babci, która wyszywała.

Miałaś swój pokój czy z kimś go dzieliłaś?

Dzieliłam go z rodzeństwem i rodzicami. Nasz pokój pełnił funkcję sypialni i salonu. Dopiero w późniejszych latach tata wybudował nowy dom, w którym dzieliłam pokój tylko z siostrami.

Zaczynając inny temat, miałaś jakąś ulubioną zabawkę?

Tak, była to taka lalka ze szmatek. Miała dwa guziki zamiast oczu, narysowany otówkiem nos i uśmiech.

Następne pytanie: czy dostawałyście jakieś prezenty?

Dostawałyśmy na Boże Narodzenie. Były to np. ciastka, jabłka, placuszki. Dawniej nie było drogich prezentów, ponieważ była bieda. W tamtych czasach cieszyłyśmy się, jak dostałyśmy ciastka czy jakieś placuszki.

Skoro dużo piekliście, to znaczy, że mieliście jakieś sklepy?

Mieliśmy jeden sklep na całą wieś, z czasem gdy nie było sklepu w Górnem, musieliśmy chodzić aż do Zawad. Nie kupowało się dużo, najczęściej ludzie sami próbowali te przetwory robić.

Jak wyglądała komunikacja w tamtych czasach?

Jeździło się bryczkami najczęściej albo chodziło się piechotą. Pamiętam jeszcze czasy, gdy bryczki były stalowe, dopiero później zastąpiły je bryczki gumowe z lekkimi kołami. Dzięki nim koniom było lżej. Drogi były polne, piaszczyste, nie było asfaltu.

Czy więzi między sąsiadami były dobre?

Oj, dobre to mało powiedziane, były bardzo dobre. Wszyscy byli dla siebie uprzejmi i każdy sobie wszystko pożyczzał. Najczęściej pożyczano sobie formy do chleba lub nafty.

Czyli swoje dzieciństwo ogólnie dobrze wspominasz?

Tak, były to przepiękne chwile, które spędziłam z rodziną i przyjaciółmi.

Niesamowite, że dzięki tym kilku pytaniom dowiedziałam się tak wiele o twoim dzieciństwie i o dawnych czasach. Dziękuję ci, babciu, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać.

Skromnie, ciężko i biednie

Kamila Jarzyna, klasa VII b

– wywiad z babciami Marianną Jarzyną i Haliną Tywanek

Zebrane przeze mnie informacje dotyczą życia w Polsce w czasach powojennych, głównie w latach 1945–1980, z perspektywy członków mojej rodziny. Moich babć, Marianny Jarzyny i Haliny Tywanek. Babcia Marianna urodziła się 3 lipca 1945 roku w Uninie.

Taki świat i życie codzienne w czasach powojennych przedstawiły mi babcie.

Po wojnie życie ludzi było bardzo ciężkie i trudne, kraj był zrujnowany. Dopiero co odeszli Niemcy, a nowa władza dopiero się rozkręcała. Jednak wielu Polaków mimo trudnych czasów cieszyło się i z nadzieją patrzyło w jutro.

Dzieciństwo moich babć było skromne, wielu artykułów i przedmiotów brakowało, nie było wszystkiego pod dostatkiem. Miało się po jednej parze butów, zdarzało się nawet, że chodziło się bez butów, oszczędzając jedyną parę, którą się miało. Ubrań też było mało, a gdy były dziurawe, to się je naprawiało – cerowało lub łątało. Ciężko było z pożywieniem, rodzina utrzymywała się głównie z pracy własnych rąk, czyli pracy na roli i hodowli zwierząt. Robiono własnej produkcji masło. Ciekawostką jest to, że było robione w maślaniczkach do ubijania śmietany lub w butelkach. Chleb również był pieczony własnoręcznie.

Kiedyś nie było lodówek. Masło było przechowywane w kamiennych garnkach z zimną wodą. Mięso było pozyskiwane z przydomowej hodowli, jadło się je od święta, a przechowywane było w solankach. Światła nie było. Jako oświetlenie służyły lampy naftowe. W ich czasach standardem były rodziny wielodzietne. Mimo biedy rodziny miały po siedmioro-dziewięcioro dzieci. Niebezpiecznymi chorobami były zapalenie płuc i gruźlica. Ludzie często na nie umierali. Dzieci niestety też. Drogi były gruntowe, nieutwardzone. Głównym środkiem lokomocji

był zaprzęg konny z wozem lub sanie w zależności od pory roku. W szkole pisało się piórem, a w ławce szkolnej były kałamarze, w których były otwory na atrament. Ławki były duże, na trzy-cztery osoby.

Kiedyś paliło się w piecach kaflowych, nie było centralnego ogrzewania. W latach 60. łóżka były metalowe lub drewniane, rozsuwane, z szufladami. Materacem w obecnym tego słowa znaczeniu były sienniki z płótna lnianego wypełnione słomą. Pralek nie było. Prało się ręcznie na tarze¹. Pranie płukało się w rzece. Wodę nosiło się ze studni, nie było wodociągów jak teraz. Kopanie ziemniaków odbywało się motyką. Kiedyś w jednym domu mieszkało kilka rodzin.

Do szkoły chodziło się w fartuszkach szkolnych. Lekcje religii odbywały się w prywatnych domach. W czasach ich dzieciństwa żyło się skromnie, ciężko i biednie.

Później sytuacja w Polsce zaczęła się polepszać. Niestety, znowu przyszyły trudne czasy. W latach 80. było ciężko z kupnem czegokolwiek w sklepie. Ludzie stali w długich kolejkach, żeby cokolwiek kupić, a czasami zdarzało się, że nic nie kupili, bo zabrakło towaru. Produkty żywnościowe były na kartki z limitem na miesiąc. Lata 70. i 80. wspominały jako ciężkie, bo choć ludzie mieli pieniądze i nastąpiła poprawa bytu, to ciężko było zaspokoić własne potrzeby. Towar był limitowany i szybko znikał z półek.

Dziękuję, babciu Marianno i Halino, za rozmowę i wspomnienia.

¹ Tara – przyrząd wykorzystywany do prania odzieży, blacha falista lub inna sfalutowana powierzchnia szklana albo plastikowa umocowana w drewnianej lub metalowej ramie.

W szkole nie dostawało się uwag, tylko linijką po rękach

Mateusz Król, klasa VII b

– wywiad z babcią Barbarą Osiak

Babciu, czy mógłbym z tobą porozmawiać o dawnych czasach, o czasach twojego dzieciństwa i młodości?

Tak.

To zaczynamy! Jak wyglądało twoje dzieciństwo? Co jedliście?

Było bardzo ciężko. Nie było owoców takich jak banan, mandarynka. A jak były, to bardzo trudno dostępne. Chleb piekliśmy sami. Nie było mowy o słodyczach tak jak teraz, a jak były w sklepie, to w kosmicznych cenach, a mięso i cukier były na kartki.

Rozumiem. Jak wyglądała nauka w szkole, gdy do niej uczęszczałaś?

Uczyliśmy się podobnie jak teraz, ale by dostać książki, trzeba było naprawdę się postarać, nikt nie wiedział, co to tablice interaktywne, rzutniki itp. Nie było takiej zasady, która panuje teraz, gdy jesteś niegrzeczny, to uwaga do dziennika. Po prostu nauczycielka biła długą linijką po rękach.

Jak wyglądała droga o szkoły?

Szło się piaszczystą drogą. Było różnie po deszczu, czasami było bardzo dużo błota. W zimę wędrowkę utrudniał duży śnieg.

Jak wyglądała szkoła?

Szkoła była nieduża, murowana, miała cztery sale lekcyjne z drewnianą podłogą. Stały w niej drewniane ławki z wycięciami na kałamarze, w którym znajdował się atrament.

Co robiliście po szkole, skoro nie było komputera, telewizora ani innych przedmiotów, które teraz w tym świecie to podstawa?

Pomagałam rodzicom w gospodarstwie, odrabiałam lekcje, biegałam z koleżankami po wsi. Po zajęciach szkolnych, jeśli było lato, jak

wielu moich rówieśników w tym czasie pasła krowy i pracowała z rodzicami w polu. Nie było maszyn rolniczych, dlatego zboże kosiło się kosą, robiło snopki i ustawiało w kupki na polu. Później było to młócone. Wykopki robiło się motyką lub tzw. kopaczką konną.

Jak wyglądały zakupy?

Do sklepu szło się dwa kilometry po naftę, żeby zapalić w domu.

Gdzie odbywały się chrzciny i wesela?

Odbywały się przeważnie w dwóch domach, w jednym był poczęstunek, a w drugim się tańczyło.

Czym jeździliście do kościoła?

Jeździło się wozem z zaprzęgiem konnym. A jak były duże zasy zimą, to szło się na piechotę trzy kilometry.

Czy w tamtych czasach były światło i telewizory?

Telewizor był jeden na wsi. Po 1970 roku.

Czy pamiętasz stan wojenny?

Trwał od 1981 do 1983 roku. Nie można było wychodzić z domu, był zakaz przewożenia towarów. W sklepach brakło towarów, a jak były, to na kartki.

Babciu, jak wspominasz tamte czasy?

Bardzo dobrze. Ludzie byli sobie życzliwi, sąsiad sąsiadowi pomagał. Więcej czasu spędzało się na rozmowach sąsiedzkich.

Gdy byłeś już dorosłą osobą, to jak bardzo czasy się zmieniły?

Bardzo. Wszystko stało się prostsze i łatwiejsze. Jedzenie było dostępne, pojawiły się pierwsze telewizory, potem telefony stały się powszechniejsze. Porównując czasy mojego dzieciństwa oraz młodości i dorosłości, to dwie różne bajki.

Bardzo dziękuję ci, babciu, za rozmowę.

Było mało czasu na zabawę

Piotr Lis, klasa VII b

– wywiad z cicią Kazimierą Doros

Moja ciocia Kazimiera urodziła się po wojnie, 29 maja 1962 roku, i jest matką chrzestną mojej mamy, a jej córka Lidka jest moją chrzestną. Ciocia ma sześcioro dzieci, mieszka około 50 kilometrów ode mnie. Opowiedziała mi, jak wyglądało jej dzieciństwo i życie wielu dzieci w Polsce w tamtych czasach.

Kiedy moja ciocia była dzieckiem, pomagała rodzicom: pasła gęsi, wychodziła z krowami na pole, pilnowała zwierząt gospodarczych i je obrządzała, pomagała rodzicom przy żniwach. W tamtych czasach nie było bizonów, zboże koszone kosami i odbierano ręcznie, a potem stawiano snopki. Następnie zwożono je do stodoły i młócono za pomocą specjalnej maszyny, wtedy pozyskiwano zboże i słomę osobno.

W tamtych czasach nie było telewizorów, dopiero potem były w kolorze czarno-białym.

Kiedy ciocia chodziła do szkoły, była pilną uczennicą i nie opuściła ani jednego dnia. Pewnego dnia, kiedy było bardzo zimno i mroźno, jako jedyna przyszła do szkoły, a jej nauczyciele byli zdziwieni jej przyjściem w taką pogodę, oczywiście dostała pochwałę.

Ciocia bardzo lubiła matematykę, z której miała najlepsze oceny. Uczyła się języka rosyjskiego. Na wychowaniu fizycznym, jeśli było ciepło, dzieci grały w zbijaka na boisku, a jeśli było zimno i padał śnieg, szły z klasą na sanki. Nie było wszystkich ocen, które są w dzisiejszych czasach. Były tylko w przedziale od dwójki do piątki, nie było jedynek ani szóstek. Do szkoły wtedy chodziło się również w soboty. Moja ciocia nie chodziła tak jak my teraz do ósmej klasy, chodziła od pierwszej do siódmej klasy szkoły podstawowej.

Lubiła chodzić do szkoły, a po powrocie z niej uczyła się i pomagała rodzicom w gospodarstwie. Kiedy była dzieckiem miała mało czasu

wolnego do zabawy, gdyż najpierw trzeba było pomóc rodzicom w obowiązkach domowych i polowych.

Za czasów kiedy ciocia była dzieckiem, było niewiele samochodów, można je było zliczyć na jednej ręce. Jedną z zabaw cioci było właśnie liczenie aut. Telefon był tylko jeden na kilka wsi. Jeden z nielicznych znajdował się w szkole.

Rodzice mojej cioci pracowali na polu, byli rolnikami. To moi pradziadkowie. Robili poduszki z piór gęsi. W swoim gospodarstwie mieli wiele gęsi. Na zimę się je zabijało i rodzice cioci je sprzedawali. Pierwszą pracą cioci po szkole była praca na tokarce.

Ciocia poznała swojego męża, czyli mojego wujka, który ma na imię Janek, w pracy.

Zapytałem również o liczbę sklepów. Ciocia odpowiedziała, że były sklepy, ale nie było w nich tylu rzeczy i nie było ich tak dużo jak dzisiaj. Nie było w sklepach ubrań, ludzie w tamtych czasach musieli je sobie sami szyć. W szkole na lekcjach uczyło się szyć, gotować, robić na drutach. Ciocia w wakacje również miała mało czasu wolnego, w większości pomagała rodzicom, a jeśli już się bawiła z dziećmi, to wieczorami. Drogi, którymi nieliczne samochody się poruszały, były usypane piaskiem, a czasami były to kocie tby, czyli droga ułożona z kamieni.

Ciocia Kazimiera opowiadała, że chrzest mojej mamy, który zamiast odbyć się w niedzielę, jak to zwykle jest, odbył się w dzień pracy, ponieważ był wtedy stan wojenny.

Na zakończenie ciocia podsumowała, że mimo braku tych wygod, które teraz mamy, i tylu obowiązków i pracy, które doświadczała, będąc dzieckiem, bardzo miło wspomina chwile młodości i bardzo się cieszy, że mogła mi je opowiedzieć.

Szkoła uczyła życia

Alicja Michalczyk, klasa VII b

– wywiad z panią Kazimierą Owczarczyk

Przeprowadziłam rozmowę z panią Kazimierą Owczarczyk, dowiedziałam się wówczas wielu interesujących faktów z życia dzieci i młodzieży w Polsce po drugiej wojnie światowej.

Kiedy i gdzie się pani urodziła?

Urodziłam się 16 maja 1947 roku w Górnem w rodzinie chłopskiej.

Urodziła się pani w domu czy w szpitalu?

Urodziłam się w domu. Poród był odbierany przez panią chodzącą po wsi i odbierającą porody od kobiet ciężarnych, zwaną akuszerką.

Ile miała pani rodzeństwa? Jaka była różnica wieku między najstarszym a najmłodszym dzieckiem?

Dawniej większość rodzin było wielodzietnych, ja miałam dziewięcioro rodzeństwa. Byłam najmłodsza z dziewczyn w rodzinie, a najmłodszy był mój brat. Między mną a moją najstarszą siostrą było około 20 lat różnicy. Miałam rok, kiedy moje najstarsze rodzeństwo brało ślub. W tej chwili zostało nas już tylko dwoje.

Czym zajmowali się pani rodzice w czasach dzieciństwa pani i rodzeństwa?

Moja matka nie pracowała, zajmowała się domem i dziećmi, za to ojciec zajmował się handlem. Ojciec handlował na rynkach czym się dało, żeby wystarczyło nam na życie.

Jak wyglądał chrzest święty i pierwsza komunia święta?

Obie uroczystości były skromne, nie było wystawnych obiadów w restauracji, prezentów ani tylu gości co teraz.

Jak się żyło, kiedy pani była małym dzieckiem?

Kiedy byłam małym dzieckiem, czasy były bardzo ciężkie, trudno było zdobyć jedzenie, ubrania i inne produkty niezbędne do życia.

Żyto się skromniej, ponieważ ludzi nie było stać na bogate warunki. Zarobić pieniądze było bardzo ciężko i trzeba było wyżywić całą rodzinę, a także wyposażyć ją w warunki do życia.

Co dawniej jedzono i jak zdobywano wodę?

Jadło się kapuśniak, barszczyk, piekło się chleb w piecach chlebowych, ciasto drożdżowe, a także to, co urosło na polu. Wodę piliśmy ze studni, herbaty nie było, jedynie kawa zbożowa. Kiedy wracaliśmy ze szkoły, piliśmy kawę zbożową i jedliśmy chleb, ponieważ nie było nic innego do jedzenia. Często jedliśmy chleb własnej roboty z cukrem i śmietaną lub swojskim smalcem. Mama robiła twaróg i masło.

Jak dawniej zarabiano pieniądze?

Dawniej pieniądze zarabiano, głównie sprzedając towar z pola bądź zagrody. Handlowano na rynkach i targach, czasami nawet ogonami koni i skórami ze zwierząt.

Jakie obowiązki miały dawniej dzieci i młodzież?

Za czasów mojej młodości dzieci i młodzież miały bardzo dużo obowiązków, musieliśmy pójść do szkoły, a po powrocie pomóc rodzicom w gospodarstwie i na roli. Młodzież głównie wykonywała czynności łatwiejsze niż dorośli, ale mimo tego trudne. Zazwyczaj zbieraliśmy plony, kopaliśmy motyką ziemniaki, buraki i nosiliśmy snopki słomy. Pomagaliśmy przy żniwach, sianokosach, wykopkach. Wiele prac wykonywało się ręcznie lub koniem, nie było maszyn ani traktorów. Często pasaliśmy krowy na łące.

Jaką funkcję pełniły w gospodarstwie zwierzęta?

Zwierzęta pełniły w gospodarstwie bardzo ważną funkcję przy uprawie roli, pozyskiwano od nich również produkty do życia, m.in. mleko, jaja i mięso. Z otrzymanych produktów robiono wszelkiego rodzaju sery, twaróg, masło, smalec, ciasta i dania.

W co się bawiono?

Bawiono się w berka, pikora, dwa ognie, chowanego, podchody i wiele innych tego typu zabaw. Podczas deszczowej pogody grano w szachy, warcaby, karty, głuchoy telefon i państwa-miasta.

Jak spędzano czas wolny?

Dzieci dawniej większość swojego wolnego czasu spędzały na świeżym powietrzu. Pomagając rodzicom na roli lub w gospodarstwie bądź bawiąc się z przyjaciółmi. Ludzie spotykali się ze znajomymi ze wsi, wszyscy się znali, szanowali i razem bawili. Często przesiadywało się na rowach, pasąc owce lub krowy, a jednocześnie rozmawiając z koleżankami.

Jak młodzi reagowali na przetomowe wydarzenia historyczne?

Dzieci bały się, żeby rodzice nie zostali wezwani na wojnę, a ojców – żeby nie wezwali do wojska.

Czym różni się życie tamtejszej młodzieży od życia młodzieży współczesnej?

Dzieci i młodzież integrowały się z sobą bardziej niż w czasach dzisiejszych. Nie było telefonów, komputerów. Był tylko jeden telefon na wsi u sołtysa, więc dzieci musiały inaczej się komunikować i znajdować sobie różne zabawy. Dawniej dzieciństwo było bardziej wesołe, bezproblemowe i niewymagające.

Czy chodziła pani do szkoły, jeżeli tak, to jak to wyglądało?

Chodziłam do szkoły na pieszo trzy kilometry, plecak miałam uszyty z płótna. Nie zabierało się do szkoły kanapek, a obiadów w szkole również nie podawali. Książki miało się po starszym rodzeństwie, jedno po drugim. Nauczyciele nie zadawali tak dużo prac domowych, bo zdawali sobie sprawę, że dzieci muszą pomagać rodzicom w gospodarstwie. Uczono bardziej przystosowania do życia i wykonywania różnych obowiązków domowych, nie stawiano nacisku na edukację.

Jakie były oceny?

Oceny były od dwójek do piątek, nie było jedynek ani szóstek.

Ile było klas?

Było mniej klas podstawowych – siedem. Studia, a nawet szkoły wyższe były jedynie dla zamożnych i bogatych rodzin. Ukończyłam tylko szkołę podstawową.

Czy utrzymuje może pani kontakt z którąś z koleżanek lub kolegów ze swojej klasy lub ze szkoły?

Utrzymuję kontakt z kilkoma osobami z mojej klasy i szkoły, wiele z nich mieszka w tej samej wsi aktualnie, także spotykamy się w kościele, sklepie i innych miejscach. Szliśmy do pierwszej klasy i nadal mamy kontakt.

Jak wspomina pani swoich nauczycieli?

Wspominam miło, aczkolwiek czasem bywało różnie. Niektórzy bywali bardzo srodzy, za to u innych na lekcji można było robić wszystko. Szczególnie w pamięci pozostał mi nauczyciel od rosyjskiego, u którego na lekcji można było robić, co się chce, lecz czasami awanturę robiła jego matka, również nauczycielka.

Jak wyglądało wewnątrz domu?

Wnętrze domu trochę się różniło od tego dzisiejszego. Były kuchnia i zazwyczaj jeden lub dwa pokoje i sieni. Zimą ogrzewano, paląc w kominie albo często stawiając piec, tzw. kozę, nie było żadnego centralnego ogrzewania. Zimą gromadziliśmy się w jednym lub dwóch pomieszczeniach, tam gdzie były ogrzewane. Pokoje były ciasne i małe, wspólne dla wszystkich. Na łóżku spaliśmy nawet po troje. W domu nie było wygod, łazienki, bieżącej wody. W kuchni palono w kominie, a ogrzewało się od pieca kaflowego. Często były to drewniane małe domy, które zimą ocieplano liśćmi z lasu lub kartofliskiem. Nie było lekko.

Czy ma pani jakąś pamiątkę, o której chciałaby mi pani opowiedzieć?

Mogę pokazać ci zdjęcia, których niewiele się zachowało przez przeprowadzki, z mojego dzieciństwa i czasów młodości. Przyjrzyj się, jak dawniej wyglądał chrzest święty, pierwsza komunia święta, nauka w szkole, praca na roli i w gospodarstwie, jak wyglądały poświęcenia pól, a także dawny ubiór, który nosiły dzieci po starszym rodzeństwie.

Dziękuję bardzo za te wspaniałe wspomnienia i możliwość porozmawiania z panią.



Pamiątkowe zdjęcia pani Kazimiery Owczarczyk z czasów dzieciństwa i młodości.

Z historii Kobylej Woli

Ksawier Mordka, klasa VII b

– wywiad z panią Wandą Parzyszek

Pani Wanda Parzyszek urodziła się w 1936 roku, mniej więcej trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej. Samego wybuchu wojny i wydarzeń z nią związanych nie pamięta, ponieważ była wtedy małym dzieckiem. Jednak okres wojny wspomina bardzo źle. Jako czas strachu i głodu. Ważne było, żeby nie być głodnym.

Pani Wanda całe życie spędziła w Kobylej Woli. Jako małe dziecko mieszkała wraz z rodziną w domu, w którym obecnie mieszkają państwo Ziomkowie.

Według mojej rozmówczynie nasza miejscowość swoją nazwę zawdzięcza upartemu koniowi. Pewnego razu, gdy dziedzic jechał wozem, kobyła mu się zbuntowała i powiedział on wówczas: „Niech będzie wola kobyła!”. Stąd się wzięła nazwa Kobyła Wola. W czasie wojny w Kobylej Woli i Woli Rowskiej od sierpnia 1944 roku przez pięć miesięcy znajdowało się lotnisko polowe 2. Pułku Nocnych Bombowców „Kraków”. Powierzchnię lotniska stanowiło dość duże, równe pole o długości około trzech kilometrów. Pierwszy lot – atak lotniczy – odbył się w nocy z 11 na 12 września 1944 roku. W 20. rocznicę pierwszego lotu bojowego społeczeństwo Garwolina ufundowało pomnik upamiętniający bohaterów pilotów, również Liceum Ogólnokształcące w Garwolinie przez dłuższy okres nosiło nazwę 2. Pułku Nocnych Bombowców „Kraków”.

Czasy powojenne też były trudne. Pani Wanda wspomina: „Jadło się chleb, mleko, jeśli mama wydoiła, i kartofle, ale chleb trzeba było samemu upiec”.

Pani Wanda chodziła do szkoły w Kobylej Woli pieszo. Nie było pojazdów, tylko w nielicznych domach były rowery. W Kobylej Woli były cztery klasy szkoły podstawowej. Uczniowie mieli dwa zeszyty i książkę.

Klasa trzecia i czwarta chodziła od 8:00 do 11:35, a pierwsza i druga od 11:40 do 13:15. Takie oto wspomnienia przekazała mi moja rozmówczyni. Bardzo jej za to dziękuję.



Na naszym podwórku zachowała się przedwojenna piwnica.



Pomnik upamiętniający bohaterów pilotów.

„Polaku, wiedz – ojczyzno, pamiętaj”

Magdalena Parzyszek, klasa VII b

– wywiad z ciotką Janiną Kaczmarek

Ciociu, w którym roku się tak właściwie urodziłaś? Był to czas przed wojną, w jej trakcie czy może po jej zakończeniu?

Był to rok 1937, kiedy przyszedłam na świat, czyli okres przedwojenny. Byłam bardzo małą dziewczynką, gdy wojna wybuchła, ponieważ miałam wtedy zaledwie dwa lata.

Urodziłaś się w domu czy może w szpitalu?

Urodziłam się w domu. Wtedy poród odbierała taka pani, która chodziła po wiosce i pracowała jako położna. Nie każdy rodził się w tamtych czasach w szpitalu, ponieważ pomoc lekarska była mało dostępna.

Jak zarabiano się dawniej na rzeczy potrzebne do codziennego użytku, np. pożywienie?

Najczęściej dochód był z rolnictwa, jednak było to bardzo utrudnione, bo nie było maszyn rolniczych. Zbiory były znacznie mniejsze niż teraz, ponieważ nie było nawozów sztucznych. Za to mój tata pracował jako stolarz. Często wykonywał dla mnie lalki z drewna, które były zdobione lnem. Z biegiem czasu sama nauczyłam się je robić. Wioska była samowystarczalna, a ludzie byli bardzo oszczędni. Nie marnowało się żadnego jedzenia, a jeśli zostały z niego jakieś resztki, zjadały to zwierzęta.

Jak wyglądało życie mieszkańców przed wojną?

Ludzie mieszkali w drewnianych chatkach, jednak dom mojej rodziny był jednym z lepszych na wsi. Był drewniany i dach miał pokryty słomą. Wiadomo, że nie było w każdym domu takich wygód, jakie mamy teraz, np. kanalizacji, światła, bieżącej wody, ale nam to wystarczało. Dopiero gdy w 1965 roku część budynków na wsi sponęła, zastąpiono je murowanymi domami.

Z czasów mojego dzieciństwa pamiętam, że każda gospodyni miała swój warsztat tkacki. Robiono w nim np. narzuty na łóżko lub worki na mąkę, kaszę czy zboże. Mniej więcej dwa, trzy razy w roku mój tata jeździł do pobliskiego młyna, żeby zmielić żyto i pszenicę na mąkę, a grykę i jęczmień na kaszę. Robiono wtedy także przetwory. Kiszono np. kapustę lub buraki w beczkach, suszono grzyby i owoce.

Nie było przedszkola, a pierwszymi nauczycielami dzieci byli ich rodzice, w moim przypadku był to tata, który ukończył szkołę przykościelną w Gończycach. Dzieci były bardzo wcześnie uczone szydełkowania, robienia na drutach oraz przetwórstwa (np. lnu, w zależności od pory roku).

Wielkim wydarzeniem w tygodniu była środa, kiedy to w pobliskim Garwolinie odbywał się dzień targowy. Mieszkańcy wsi jechali na ten targ wozami konnymi. Sprzedawali na nim świeże masło, jajka, śmietanę w butelkach. Poza tym dwa razy w roku (w czerwcu i w sierpniu) odbywał się odpust w Górznie. Dzieci lubiły na nim przebywać. Na wesela i chrzciny rodzice nie zabierali przeważnie dzieci, mój tata wtedy uważał, że nie jest to miejsce dla nich.

Ciociu, jak spędzałaś swój wolny czas?

Wiele radości sprawiała mi i innym dzieciom zabawa w błocie, szczególnie po deszczu. Bawiliśmy się też bardzo często w chowanego. Jednak moją ulubioną zabawą była gra w pikora¹. Lubiłam też z innymi dziećmi chodzić nad pobliski mały staw, ponieważ woda była tak czysta, że znajdowały się w nim raki, które potem bardzo uważnie obserwowaliśmy.

Jak przebiegała wojna w naszej miejscowości i okolicy?

Momentu wybuchu wojny nie pamiętam, ponieważ miałam wtedy tylko dwa lata, ale dużo o tym opowiedziała mi moja mama. Z tych

1 Gra w pikora – może w niej uczestniczyć dowolna liczba osób, jeden pasterz i kilku lub kilkunastu innych uczestników – wilków. Gra się przeciwko jednej osobie – pasterzowi owiec. Każdy uczestnik jest wyposażony w kij. Celem każdego wilka jest zabicie kija białego wcześniej w ziemię przez pasterza.

opowieści dowiedziałam się, że w naszym domu mieszkało na początku wojny kilku Niemców. Mama mówiła mi, że jeden z nich dosyć dobrze umiał się porozumiewać w języku polskim. Zostawili oni dla nas czekoladę w proszku i kawę ziarnistą, którą mama nie wiedziała, jak wykorzystać, bo nie miała młynka. Wcześniej wspomniany Niemiec powiedział jej, że zostawiają te produkty dlatego, że on sam ma małe dzieci i utkwilo mu to w pamięci.

Już później, kiedy miałam sześć-siedem lat, pamiętam naloty samolotów niemieckich. Gdy ludzie słyszeli przeraźliwy dla nich jęk nadlatujących maszyn, chowali się w piwnicach. Na moim podwórku był wykopany dół przykryty deskami, w którym chowaliśmy się wraz z moją rodziną w czasie nalotów. Podczas jednego z nich mój tata nie schował się w naszym schronie. Zobaczył wtedy dwa samoloty, z których wyleciały dwie bomby, po czym pomyślał, że nasza wieś będzie cała w płomieniach. Na szczęście jedna z tych bomb wpadła do pobliskiego stawu, a druga spadła dopiero niedaleko lasu.

Pod koniec wojny mieszkało w naszym domu pięciu lub sześciu pilotów. Kiedy się już wyprowadzali, jeden z nich zostawił dla mnie skórzaną teczkę, w której nosiłam potem książki i zeszyty do szkoły. Byłam z tego powodu niezmiernie szczęśliwa, bo większość dzieci miała wtedy materiałowe worki. Kiedy nadszedł dzień, gdy wojska niemieckie i rosyjskie się wycofały, w naszej wsi zapanowała ogromna radość.

Jaką sytuację, w której uczestniczyłaś, najlepiej, ciociu, zapamiętałaś?

Było wiele takich momentów, ale do dziś najbardziej zapadła mi w pamięć sytuacja z moją mamą. Już pod koniec wojny moja mama popadła w bardzo ciężką depresję. Lekarz mógł niewiele zrobić, a nawet ksiądz przyjechał dokonać ostatniego namaszczenia. Potem ludzie ze wsi zebrali się i śpiewali pieśń, która kojarzyła mi się bardzo z odejściem człowieka na drugi świat. Wtedy bardzo się bałam, że moja mama umrze. Do tej pory, kiedy słyszę tę pieśń, mam łzy w oczach.

Czy poczułaś ulgę, jak wojna się skończyła? Jaki ona miała na ciebie wpływ?

Tak, owszem, poczułam ogromną ulgę, że to, co złe, wreszcie się zakończyło. Po tym całym okresie wojennym zrozumiałam, jak bardzo ważny jest drugi człowiek, że należy każdemu pomagać w miarę swoich możliwości, na jakie nas stać.

Niestety, lęk przed wojną pozostał we mnie do teraz i jeżeli słyszę jakieś nieporozumienia będące w kraju, zaczynam się obawiać. Ten trud codzienny w czasie wojny zmobilizował mnie do tego, żeby się uczyć i osiągać wszelkie cele w życiu codziennym. Jeśli chodzi o naukę, bardzo duży wpływ miał na mnie tata, za co bardzo mu dziękuję.

Naprawdę warto zmieniać swoje życie, uczyć innych ludzi i im pomagać.

Życie malowane wojną

Kacper Popiołek, klasa VII b

– historia babci Kazimiery Prusińskiej

Moja babcia urodziła się 19 lutego 1933 roku w Jażwinach, w gminie Łuczniczka. Mając sześć lat, sprowadziła się z rodziną do Górzna, ponieważ rodzina Wilkońskich szukała ludzi do pracy i wyruszyli za chlebem. Mieszkała w dworskiej oborze, tzw. czworakach¹, w jednej izbie, z piątką rodzeństwa i rodzicami. Razem z nimi było tam 12 rodzin. Tylko w izbie rodziny mojej babci była drewniana podłoga, u innych rodzin podłóże było wykonane z gliny, a ściany malowano wapnem. Wyposażenie izby było bardzo skromne. Na środku pomieszczenia stał stół z krzesłami, a przy ścianie w każdej izbie poustawiano ołtarzyki z obrazkami świętych. Wokół nich latem układano żywe kwiaty polne, a zimą robiono sztuczne, z szarego papieru lub krepiny.

W tym trudnym czasie spano na drewnianych łóżkach, na których leżały lniane sienniki wypełnione słomą. Poduszki były wyszywane, a środek wypychano gęsim pierzem. Łóżka przykrywano kilimami robionymi z owczej, farbowanej wełny. Sufity były dekorowane tzw. pająkami, które wykonywano z bibuły, słomek, suszonych kwiatów, papieru, krepiny. W pomieszczeniu stał również kredens z naczyniami pięknie malowanymi w motywy roślinne. W rogu izby znajdował się duży piec, w którym palono węglem lub drewnem, żeby ogrzać mieszkanie, a także upiec chleb i ugotować różne potrawy. Przy tak licznej rodzinie to rodzice spali na łóżku, a część dzieci spała na podłodze.

Moja babcia wraz z rodzeństwem chodziła do szkoły, nauczano wtedy również w barakach przy gminie. Uczono głównie takich przedmiotów, jak język polski, język niemiecki, rachunki (dzisiejsza matematyka). Babcia skończyła cztery klasy. Przedmiotów nauczano w języku niemieckim

¹ Czworaki – budynek mieszkalny o czterech mieszkaniach, z których każde ma osobne wejście z zewnątrz, wchodzący w skład zespołu zabudowań dworskich lub folwarcznych, mieszkali tam pracownicy rolni.

i polskim, a na początku i na końcu lekcji odmawiano modlitwę. Wychowawczynią babci była pani Krystyna Gregalis, a nauczycielką języka polskiego pani Łucja Przedzimirska. W 1939 roku szkołę spalono, a potem mimo okresu wojennego szybko ją odbudowano. W nowej szkole mieściły się cztery klasy, kancelaria i pokój nauczycielski. Religii nie uczono w tym czasie w szkole, tylko w salce, a niekiedy nawet w prywatnych domach. Lekcje odrabiano przy świecach, dopiero potem pojawiły się karbidówki, tak nazywane dawniej lampy naftowe.

Kiedy uczniowie nie chodzili do szkoły, pracowali w polu wraz z dorosłymi, zbierali owoce w sadzie, zwanym „słodkim ogródkiem”, który należał do państwa Wilkońskich. Ponadto służyli we dworze, bawiąc dzieci, piorąc czy wykonując różne inne obowiązki domowe. W czasie wolnym od pracy organizowali sobie potańcówki, darli pióra czy kisili kapustę. Babcia, chcąc robić na drutach, uczyła się tej czynności na szprychach od roweru. Choć żyli biednie, mieli wiele okazji do radości, np. co rok inna miejscowość organizowała dożynki po żniwach. Odpusty w różnych parafiach były okazją do tego, by odwiedzić i spotkać się z rodzinami.

W tym okresie kobiety ubierały się w układane spódniczki, wyszywane bluzeczki, a sukienki szyto z materiału, który nazywano krempliną. Mężczyźni zaś chodzili w lnianych koszulach, które były cienkie i przy pracach na polu dawały ochłodę. Wszystkie ubrania szyto samemu albo u krawcowych.

O drugiej wojnie światowej moja babcia dowiedziała się od przejeżdżających handlarzy, sprzedających różne produkty, takie jak ser, jajka, mleko, masło, kury, gęsi i ich pierze. Poczuli wtedy ogromny smutek i strach, obawiając się przyszłości.

Państwo dla których pracowali moi krewni, dowiedziawszy się o wybuchu wojny, wyjechali za granicę. Z kolei ludzie, którzy zostali, pracowali tak samo jak wcześniej, bo nie wiedzieli, co przyniesie jutro.

Podczas wojny babcia z rodziną chodziła do kościoła, wcześniej gromadząc się z dziećmi przed budynkiem gminy. W parach szli na mszę świętą.

W szkole zajęcia były prowadzone dalej w języku polskim.

Babcia często widywała partyzantów chowających się za izbami lub stertami siana bądź słomy.

W tym bardzo trudnym okresie jedzono skromnie, np. kluski z mlekiem zwane tyfusem, ziemniaki ścierane z mlekiem, czyli dawniejsze kluski tykane, i chleb, który posypywano cukrem.

Niemcy bezpośrednio nie prowadzili walk w Górznie, ale oddalony Garwolin był bombardowany. W naszej miejscowości mieszkały też rodziny pochodzenia żydowskiego, które po wybuchu wojny uciekały z kraju lub były wywożone wozami do Sobolewa. Tam była stacja kolejowa i stamtąd byli wywożeni do obozów koncentracyjnych.

Małą wioskę niemieccy żołnierze wykorzystywali do pozyskania jedzenia i każda rodzina musiała oddać jakąś część plonów, którą Niemcy przechowywali w miejscowej mleczarni. Pewnego razu partyzanci urządzili tam zasadzkę, lecz nie powiodła się i zostali schwytani. Wśród nich był Władysław Józwicki, którego torturowano, by zdradził swoich kolegów. Oczywiście nikogo nie wydał. Jego koledzy zginęli na miejscu, a on został rozstrzelany w lesie w okolicach Miętneho.

W tym okresie bardzo rzadko widziano samochody, najczęściej jeżdżono wozami ciągniętymi przez konie lub chodzono piechotą i tylko tak można było się przemieszczać między wioskami. Ludzie chorowali wtedy na różne choroby, w większości przypadków było to zapalenie płuc, nazywane suchotami. Była to jedna z wielu chorób, która powodowała dużą śmiertelność.

Po wyzwoleniu czworaki opustoszały. Rodzina po rodzinie zaczęły się wyprowadzać. Babcia ze swoimi krewnymi wyprowadziła się jako ostatnia do nowo kupionego domu. Pole zaś dwa razy w roku: na wiosnę i jesień, słaćano, żeby mieć je na własność. Jako byli pracownicy mieli do tego prawo.

Dzięki tej rozmowie z moją babcią dowiedziałem się, jak żyło się w tamtych czasach, oraz poznałem historię mojej rodziny. Dlatego też będę mógł pielęgnować pamięć o swoich przodkach. Dziękuję mojej kochanej babci, bo gdyby nie ona, ta praca by nie powstała.



Zdjęcia należące do Kazimierzy Prusińskiej, przedstawiające sceny z czasów jej dzieciństwa i młodości.

Ojca nie było w domu siedem lat

Oliwia Prusińska, klasa VII b

– wywiad z pradziadkiem Stanisławem Radziejem

Wywiad przeprowadziłam z moim pradziadkiem Stanisławem Radziejem. Pierwszego grudnia skończy on 88 lat. Pradziadek jest schorowany i słabostyszący, więc musiałam głośno krzyknąć, przeprowadzając tę rozmowę. Zwracam się do niego „dziadku”.

Dziadku, ile miałeś lat, gdy rozpoczęła się wojna?

Gdy rozpoczęła się druga wojna światowa w 1939 roku, miałem siedem lat. Urodziłem się w 1932 roku.

Czy pamiętasz dzień, w którym zaczęła się wojna?

Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Byłem wtedy na polu i pałem krowy. Nagle usłyszałem straszny huk. Samoloty zaczęły bombardować stawy, które były niedaleko mojej ziemi.

Jak wyglądało życie twojej rodziny?

Po rozpoczęciu wojny mój tata, Roman Radziej, został wezwany do wojskowej komendy rejonowej. Zgłosił się do Brześcia, w domu zostaliśmy ja, siostra Janina i moja mama.

Jak wyglądało wasze życie podczas wojny?

Było bardzo ciężko, w domu nie było co jeść ani w co się ubrać. Nie chodziłem również do szkoły.

Jak zachowywali się Niemcy wobec was?

Pierwszego Niemca zobaczyłem, jak pewnego dnia przyszedł do naszego domu i chciał się napić wody. My pierwsi musieliśmy napić się i udowodnić mu, że nie jest zatruta. Kilka dni później przyjechali wozami żołnierze niemieccy i zajęli nam jeden pokój w domu. Obchodzili się z nami bardzo życzliwie – udawali dobrych i życzliwych. Częstoowali nas cukierkami i czekoladą, ale my już jako dzieci wiedzieliśmy, że to wrogowie i nie daliśmy się zwieść.

Czy dawaliście sobie sami radę?

Niestety nie. Było nam bardzo ciężko. Pomagali nam sąsiedzi i stryjenka. Ja cały ten czas ciężko pracowałem na roli.

Dziadku, czy twój tata przeżył wojnę i wrócił do domu?

Szczęśliwie tak. Mój tata wrócił w maju 1947 roku, dwa lata po wojnie. Nie było go w sumie siedem lat.

Zastanawia mnie, dlaczego wrócił dopiero dwa lata po zakończeniu wojny?

Tata został zabrany przez Rosjan do niewoli i wywieziono go na Syberię. A następnie dostał się do tworzonoego w Rosji Radzieckiej polskiego wojska.

Czy po powrocie twój tata opowiadał ci, dziadku, gdzie był i co robił?

Tak, mój tata walczył u boku generała Andersa¹, z którym przeszedł cały szlak bojowy. Walczył pod Tobrukiem (w dzisiejszej Libii), gdzie został ranny. Został odznaczony Krzyżem Wirtuti Militari.

Dziękuję, dziadku, za te wspaniałe wspomnienia.

1 Generał Władysław Anders – po radzieckiej agresji 17 września 1939 roku jednostki generała Andersa podjęły walkę z Armią Czerwoną. Ranny dwukrotnie generał dostał się do niewoli, gdzie był torturowany. Wyprowadził polskich żołnierzy i ludność cywilną ze Związku Radzieckiego. Do listopada 1942 roku wysłano do Iranu ponad 115 tysięcy osób, w tym około 78,5 tysiąca żołnierzy, 37 tysięcy cywilów, blisko 18 tysięcy dzieci. Anders dowodził 2. Korpusem Polskim Polskich Sił Zbrojnych, m.in. w słynnych bitwach pod Tobrukiem i Monte Casino.

Pół wsi się schodziło, żeby obejrzeć telewizję

Mateusz Rutkowski, klasa VII b
– historia babci Anastazji Muchy

Babciu, chciałbym, żebyś mi opowiedziała, jak wyglądało twoje życie dawniej i jak żyło się w Polsce, w miejscowości, w której mieszkałaś w tamtych czasach.

Na pewno nie było tak jak w dzisiejszych czasach, w niektórych wsiach był tylko jeden sklep, w którym były tylko podstawowe produkty. Jak ktoś chciał kupić lepszy produkt, to szedł do tzw. pewexu, sklepu, w którym sprzedawano towary sprowadzane z zagranicy.

Jak wyglądało wasze życie codzienne. Czy pomagaliście sobie w sąsiedztwie?

Nasze życie codzienne było związane z życiem na wsi i jego rytm wyznaczały prace w polu i zagrodzie. Bardzo często sobie pomagaliśmy. Nie było tylu maszyn, co dzisiaj, więc każda pomoc wzajemna była mile widziana. Podczas kopania ziemniaków czy żniw sąsiedzi schodzili się po kolei jeden do drugiego i wzajemnie sobie pomagali.

A ty, babciu, też pomagałaś?

Ja też pomagałam, bo jak przyszliśmy tutaj mieszkać i zaczęliśmy prowadzić gospodarstwo, to przecież inaczej nie wypadało. Szliśmy do sąsiadów pomóc, a potem oni robili to samo dla nas. Wszyscy robiliśmy to na zasadzie sąsiedzkiej pomocy i życzliwości.

Jakie wspomnienia przywołujesz w pamięci, jak myślisz o tamtych czasach?

To nie był łatwy czas, nie było telewizora, radia, lodówki ani kuchenki gazowej. Mieszkania ogrzewało się, rozpalając drzewo w kaflowych piecach czy jeszcze wcześniej w klinach z cegły.

Skąd ludzie brali towary, których nie można było kupić w sklepach?

Hodowcy świń czy krów mieli swoje mięso, bo zabijali świnie i przechowywali w takich piwnicach kamiennych, w których było bardzo zimno, bo przecież lodówki kiedyś nie było, bo nie było prądu. Dzięki krowom było mleko, a z mleka to i masetko można było wyrobić, i śmietankę.

A wy jakie mieliście zwierzęta w swoim gospodarstwie?

Wszystkie. Kiedyś każdy gospodarz miał po kilka sztuk bydła, świń, kóz czy kur, żeby mógł wyżywić swoją rodzinę.

Jak radziłaś sobie z tamtymi trudnościami i niedogodnościami?

Jakoś się tam radziło, ciężko było. Przed zmierzchem musieliśmy szybko zająć się wszelkimi pracami gospodarskimi czy przy zwierzętach, a później lekcje odrabiałam przy lampie naftowej.

W jaki sposób spędzałaś czas wolny?

Jak byłam młodsza, to wszystkie dzieci ze wsi spotykały się na łące. Graliśmy w takie zabawy jak krzyżak, palant czy po prostu w piłkę. Później, gdy poszłam do szkoły podstawowej, zapisałam się do kółka sportowego i całe dni spędzałam właśnie tam, trenując lekkoatletykę, biegając i skacząc w dal i wzwyż.

Czy osiągnęłaś jakieś sukcesy?

Zdobyłam trzy dyplomy za zajęcie drugiego i pierwszego miejsca w Miastkowie. W szkole w Zgórzu w archiwum są moje dyplomy, zawsze myślałam, żeby z mamą pojechać i je odebrać.

Jakie programy można było obejrzeć w telewizji albo w radiu?

Nie oglądaliśmy żadnych programów, bo nie mieliśmy telewizji ani radia. Dopiero jak zaczęłam chodzić do pierwszej klasy, we wsi założono elektryczność i w domu pojawiła się pierwsza żarówka. Wtedy we wsi pojawił się pierwszy telewizor. Pół wsi się schodziło do tego domu, żeby pooglądać. Później stopniowo ludzie zaczęli kupować telewizory. Bardzo lubiliśmy oglądać wyścigi kolarskie.

W jakich ubraniach się chodziło?

Na przykład w szkole obowiązywały mundurki, wszyscy chodziliśmy w granatowych fartuszkach z białym kołnierzykiem.

Jaka była twoja pierwsza praca, gdy dorostaś?

Zakłady radiowo-telewizyjne.

Jakie było najlepsze twoje wspomnienie z lat szkolnych?

Najlepsze moje wspomnienia są związane z wycieczkami lub wyjazdami na zawody.

Jakie były możliwości rozwijania swoich talentów w szkole?

Prowadzono koła sportowe przy szkole podstawowej.

Jaką najstarszą rzecz masz w domu?

Maszynę do szycia na pedały, firmy Singer. Ta maszyna teraz to ma już z 90 lat.

Babciu, dziękuję ci bardzo za wywiad. Twoje wspomnienia dla mnie bardzo dużo znaczą, są częścią historii naszej rodziny, a my, młode pokolenie, powinniśmy ją znać.

Z przeszłości zostały tylko czarno-białe zdjęcia

Wiktoria Siarkiewicz i Mateusz Gałkowski, klasa VII b

– wywiad z prababcią Janiną Zajęc

Wywiad przeprowadziliśmy z naszą 91-letnią prababcią zamieszkałą w Reducinie.

Babciu, kiedy i gdzie się urodziłaś?

Urodziłam się w roku 1929 w swoim rodzinnym domu na Piaskach. Miejskowa akuszerka nadzorowała poród, zdrowie moje i mojej mamy.

W co się w tamtym okresie bawiliście?

Popularnymi zabawami w grupach sąsiedzkich były gra w berka, chowanego i dwa ognie.

A jak wyglądała nauka i szkoła?

Uczyłam się bardzo dobrze. Chętnie chodziłam do szkoły na piechotę z całą grupą dzieci z mojej miejscowości. Moim ulubionym przedmiotem była gimnastyka, bo bardzo lubiłam biegać. Jak biegaliśmy na Piaskach po bruku z kamieni, to ja zawsze byłam pierwsza. W tym czasie, kiedy ja chodziłam do szkoły, zeszyty były z szarego papieru, bardzo cienkie i trudno dostępne. Książki i zeszyty nosiłam w worku, który moja mama uszyła mi z lnianej tkaniny.

Czy miałaś możliwość posłuchania muzyki?

Była ona praktycznie niedostępna. Jedni z sąsiadów mieli gramofon, a inni radio, które – pamiętam – wisiąło na ścianie. Spotykaliśmy się u nich potajemnie i słuchaliśmy wiadomości i muzyki.

Jak się ubierano w twoich latach młodości?

Ubrania były bardzo skromne, uszyte z tkanin naturalnych, najczęściej z lnu. Nie było wtedy sklepów z tak dużym wyborem ubrań jak teraz. Kobiety nosiły chusty na głowach, a w pasie wiązały fartuchy. Ubrania były w kolorach szarych, czarnych, zielonych.

Jak wyglądało życie codzienne podczas wojny?

Żyliśmy w ciągłym strachu i niepewności. Pamiętam, że podczas nalotów samolotów rosyjskich, podczas pracy przy zrywaniu lnu, chowaliśmy się z rodzicami w gąszczach, żeby nas piloci nie widzieli i nie chcieli rzucić bomb.

Nad miejscowością Piaski przelatywały samoloty niemieckie, które strzelały, niszczyły i strasznie bombardowały. Strach zapanował wśród mieszkańców. Ludzie uciekali do lasów, bunkrów i kryjówek, gdzie z niecierpliwością czekali, kiedy nastąpi spokój i cisza. W tym czasie zginęło wielu moich bliskich i sąsiadów. Największy strach poczuliśmy, gdy Niemcy wkroczyli do naszego domu w poszukiwaniu partyzantów. Na szczęście obyło się bez ofiar.

Czy zostały ci jakieś pamiątki z tamtego okresu?

Jedynymi pamiątkami, jakie udało się uratować, są czarno-białe zdjęcia i obrazek z pierwszej komunii świętej, która odbyła się 26 czerwca 1939 roku.

Jak zmieniło się życie po wojnie?

Po zakończeniu drugiej wojny światowej nastąpiła niewyobrazalna bieda i głód. To był bardzo trudny i niespokojny czas.



Pamiątka z pierwszej komunii świętej Janiny Zajac.

Jako dziecko nie znałam smaku słodczy

Kamila Szwed, klasa VII b

– historia babci Krystyny Grzyb

Babcia urodziła się 15 lutego 1942 roku w Piastowie, w swoim domu, przy pomocy akuszerki. Babcia poślubiła swojego męża w kościele Zwiastowania Najświętszej Marii Panny w Żelechowie 15 sierpnia 1960 roku. Zapraszam do zapoznania się z wspomnieniami mojej babci.

Z okresu mojego dzieciństwa pamiętam naloty samolotów niemieckich, których bardzo się bałam. Najwięcej pamiętam z opowiadań mojego taty, który wrócił z niewoli niemieckiej po trzech latach. Opowiadał mi o ciężkich pracach niewolniczych, głodzie i zimnie, które przeżył w tamtym czasie. Rzeczy, które mu zostały z tego okresu niewoli, to maska przeciwgazowa, drewniane buty i menażka.

W czasie wojny Niemcy nałożyli kontyngenty żywnościowe na rolników, które trzeba było oddawać. Za nieoddanie kontyngentu groziła kara śmierci. Taka kara spotkała jednego z gospodarzy, niejakiego pana Czajkę z Ksawerynowa, którego Niemcy przywieźli samochodem do lasu w Piastowie i powiesili na sośnie przy głównej drodze, ku przestrodze innym rolnikom.

Jako małe dziecko żyjące w czasach wojny przeżyłam trudne dzieciństwo. Moją jedyną zabawką była lalka, która bawiłam się aż do szkolnych lat. Moja lalka miała główkę z porcelany, a resztę ciała uszyte było z materiału. Była ubrana w piękną, czerwoną sukieneczkę i biały sweterek z angory. Jako małe dziecko nie znałam również smaku słodczy i czekolady.

W latach wojennych żyło się ciężko, panował głód i straszna bieda. Ludzi nie stać było na godne życie. Chleb piekło się raz w tygodniu

w domowym piecu, poza tym potrawy jadało się często postne, bo nie było mięsa.

W tamtych czasach bardzo ciężko było z kupnem ubrań. Starym ubraniom naszywano łaty. Ja chodziłam w ubraniach po swojej ciotecznej siostrze, z których ona już wyrosła.

U nas w domu nie było radia ani nawet zegara. Godziny określaliśmy na podstawie położenia słońca na widnokręgu. Dopiero w 1956 roku została doprowadzona linia energetyczna do mojej miejscowości. Nasze życie, można powiedzieć, wywróciło się wtedy do góry nogami. Przede wszystkim prace domowe, lekcje zaczęliśmy odrabiać przy świetle, a tata kupił radio.

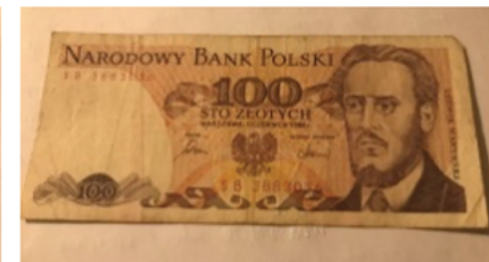
Z pamiątek zachowało się jedno zdjęcie sprzed wojny, które przedstawia wycieczkę parafialną do Częstochowy i Wieliczki z 14 sierpnia 1936 roku oraz kilka banknotów z czasów powojennych.

W okresie powojennym wesela odbywały się w mieszkaniu przy akompaniamencie okolicznych grajków. Do ślubu para młoda jechała wozem konnym, a zimą saniami. Podczas przyjęć weselnych podawano placek drożdżowy i kaszę posypaną skwarkami. Wesela odbywały się głównie w karnawale.

Teraz o wiele lepiej żyje się niż za dawnych lat. Na pewno nikt nie chciałby wrócić do tamtych czasów, głównie ze względu na wojnę, ale i ciężką pracę w polu, w którym nie było do pomocy maszyn, tylko wszystko robiło się ręcznie.



Zdjęcie z wycieczki do Częstochowy i Wieliczki z 14 sierpnia 1936 roku.



Banknoty i monety z dawnych lat.

To były trudne czasy dla Polski i naszej rodziny

Maja Szwed, klasa VII b

– historia babci Henryki Owczarczyk

Dzieciństwo

Moja babcia urodziła się w 1949 roku w mazowieckiej wsi Woli Koryckiej, lecz nie w szpitalu, tylko w domu. Był to czas powojenny. Gdy miała 10 lat, jej matka została wdową i samotnie wychowywała trójkę dzieci, moja babcia miała jeszcze dwóch braci. Musiała pomagać swojej mamie, gdyż ona sama nie poradziłaby sobie z gospodarstwem. Jednak nie odbiło się to na jej ocenach w szkole, bo babcia była bardzo pilną i zdolną uczennicą i miała same piątki. Dzieciństwo na wsi w tamtym czasie było trudne. Jak powiedziała moja babcia, „kiedyś było ciężiej, niż jest teraz”. Rodziny nie dostawały od państwa pieniędzy, a rolnicy wsparcia finansowego. Gdy była dzieckiem, nie było traktorów, kombajnów ani innych maszyn rolniczych, tylko do wszystkich prac na polu był potrzebny koń, jednak można było wypożyczyć ciągnik w SKR-ze (Spółdzielni Kółek Rolniczych). Na odległość porozumiewano się listami i telegramami.

W Polsce nie produkowano jeszcze lodówek. Mięso okręciano w materiał, tak by nie miało dostępu do powietrza, i wieszano na strychu, a kapustę kisilo się w wielkich beczkach. Na wsi nie było problemu z brakiem mleka, jajek czy piór na poduszkę. Najczęściej na obiad była kapusta, a najrzadziej mięso, które było tylko na święta. W tym czasie rzadko kto jeździł samochodem, więc poruszano się wozami zaprzężonymi w konie, rowerami albo pieszo. Moja babcia szczególnie lubiła ten drugi środek transportu.

Jej ulubionym sportem była piłka ręczna, w którą grała po lekcjach w szkole albo podczas wychowania fizycznego. Jeździła na zawody. Swój



Henryka i Roman Jan Owczarczykowie.

wolny czas jako mała dziewczynka spędzała, pomagając мамie lub na zabawie. Jeśli zdecydowała się na to drugie, to bawiła się w klasy, skakała na skakance, grała w dwa ognie lub piłkę ręczną, na którą mówiono „szczypiorniak”. Była bardzo aktywnym dzieckiem. W zimę jej bracia, chcąc pojeździć na łyżwach, strugali je z drzewa, a u dołu przyczepiali drut służący za płożę.

W wieku 20 lat babcia zakochała się i po trzech miesiącach wyszła za mąż za mojego dziadka. Przeprowadziła się do jego domu w Wólce Ostrożeńskiej, gdzie mieszka do teraz. Przeżyła z nim 51 lat, to była wielka miłość. Urodziła czwórkę dzieci, z których najmłodszą jest moja mama.

W 1981 roku rozpoczął się stan wojenny. Babcia miała wtedy 32 lata. Na początku tego okresu jej mąż dostał kartę mobilizacyjną i pojechał stawić się do Garwolina. Wszystkich mężczyzn z Garwolina przewieziono do Węgrowa, gdzie ich umundurowano. Pilnowali oni, żeby w Siedlcach nie spotykały się duże grupy osób i żeby nie doszło do nieporozumień.

Babcia nie miała żadnej wiadomości ani możliwości skontaktowania się z dziadkiem, bo nie było telefonu. Czasami gdy dostawał przepustkę, przyjeżdżał do domu w odwiedziny. Mój dziadek był rolnikiem, dlatego wrócił do domu już po dwóch miesiącach. Przez ten czas, gdy go nie było, moja babcia musiała sama radzić sobie z gospodarstwem. Pomagali jej jedynie synowie, gdyż córki były jeszcze za małe. Czasem przychodził pomóc także sąsiad.

Podczas stanu wojennego, żeby przedostać się z miasta do miasta, trzeba było pójść do urzędu gminy i wypełnić dokumenty. W sklepach wszystko było na kartki. Na każdą osobę w miesiącu przypadała określona ilość jedzenia, którą może kupić. Na jedną osobę w miesiącu przypadało: 1 kg cukru, 0,5 kg mięsa, 1 kg mąki, ponadto dla dorosłych 0,5 l wódki, a dla dziecka 10 dag cukierków. To były trudne czasy dla Polski i dla naszej rodziny. Na szczęście wkrótce sytuacja zaczęła się stabilizować i poprawiać i można było żyć spokojniej i bezpieczniej.

Tak właśnie wyglądało dzieciństwo i młodość mojej babci widziane jej oczami.

Jestem taka, bo tak zostałam wychowana

Wojciech Wielgosz, klasa VII b

– wywiad przeprowadzony z babcią Henryką Wielgosz

Babciu, denerwujesz się? Cała Polska będzie to czytać...

Wnusi, tyle już przeżyłam, że takie rzeczy mnie nie krępują.

Babciu, gdzie się urodziłaś: w domu czy w szpitalu?

Takie były czasy, że większość z nas urodziła się w domu. Zarówno ja, jak i dziadek urodziliśmy się w domach. Moja mama jeszcze w ciągu dnia zbierała ziemniaki, bo to była jesień. Późną nocą ja się urodziłam. Tata i moje starsze rodzeństwo byli w sąsiedniej izbie, teraz powiedzielibyśmy „w drugim pokoju”. Mój tata, a twój pradziadek, przyprowadził akuszerkę. Kiedyś prawie w każdej wiosce była taka kobieta, która miała taką umiejętność, dar pomagania kobiecie w tej trudnej chwili.

Jak mieli na imię twoi rodzice?

Roman i Kazimiera.

Jak wyglądało twoje dzieciństwo?

Rodzice bardzo ciężko pracowali w rolnictwie. My też pomagaliśmy, kto ile mógł, od najmłodszych lat. Ja z siostrą najczęściej pomagałyśmy mamie, a brat tacie. Tak to było utarte, że męska część rodziny raczej miała więcej obowiązków przy zwierzętach, gospodarstwie, a kobiety i dziewczynki więcej w domu. Kiedy były większe prace, typu żniwa, wykopki, to wtedy każda pomoc się liczyła, również sąsiedzka. A potem my pomagaliśmy u sąsiadów. I tak to się toczyło...

A szkoła? Chodziłaś do szkoły?

Oczywiście. Ale szkoła wyglądała wtedy inaczej. Lekcje odbywały się po domach. Budynek szkolny powstał dużo później. Budowali go mężczyźni ze wsi. Kobiety pomagały. Szykowały posiłki, sprzątały.

Czy nauczyciele zadawali prace domowe?

Zadawali. Największy nacisk kładli na kaligrafię i rachunki.

Czym była kaligrafia?

Nauczyciele przywiązywali dużą wagę do tego, żebyśmy ładnie pisali. Trzeba było powtarzać linijkę, jeśli było niestarannie. A uwijać się trzeba było za dnia z lekcjami, bo wieczorem przy świeczce było dużo trudniej.

Nie mieliście prądu?

Mieliśmy, ale trochę później. Gdy byłam w pierwszej klasie, wieś nie była jeszcze zelektryfikowana.

Czy trudne to były czasy?

Jak tak teraz na to popatrzę, gdy są te wszystkie udogodnienia, maszyny, urządzenia, to myślę, że tak. Moi rodzice musieli mieć ciężko. No i była bieda. Mama się mocno starała, żebyśmy nie byli głodni. Rarytasów nie było, ale ja ten czas wspaniale wspominam.

Jaka była twoja pierwsza praca?

Byłam salową w szpitalu. Opiekowałam się noworodkami. Zawsze kochałam maluszki. Zmieniałam im pieluszki, karmiłam te, które były „na butli”, albo zanosłam je mamom do karmienia.

Babciu, gdzie poznałaś dziadka?

Dziadek pochodził z pobliskiej wsi. Mój tata często odwiedzał jego tatę, który był kowalem. Czasem też twój dziadek przyjeżdżał do nas. Tak się poznaliśmy.

Gdzie dziadek wtedy pracował?

Wtedy był nastolatkiem. Uczył się w samochodówce i pomagał na roli. Zresztą jak wszyscy wtedy. A po naszym ślubie dziadek zaczął pracę w przedsiębiorstwie autobusowym.

Czy kiedykolwiek byłaś za granicą?

Nie, nie byłam. Dla mnie wyjazd do Warszawy, do lekarza z twoim wujkiem, był już wyprawą.

Od kiedy mieszkasz w obecnym miejscu zamieszkania?

Od zawsze. Urodziłam się tu i wychowałam. Tu wychowałam swoje dzieci. Dobrze mi tu.

Czy pamiętasz jakieś ważne wydarzenia z dzieciństwa?

Z takich rzeczy, które nas dotyczyły i które jako dziecko zapamiętałam, to najbardziej elektryfikację, potem pierwszy telewizor, pralkę Franię. A w Polsce działały się wtedy ważne wydarzenia.

Jakie na przykład?

Lata 60. najbardziej kojarzę z walką państwa z Kościołem. Rodzice dużo mówili o kardynale Wyszyńskim. Lata 70. to strajki w Stoczni Gdańskiej. To był początek walki o Polskę, jaką ty znasz.

Co jeszcze było inaczej?

Ludzie mieli wielki szacunek do Kościoła, chleba i siebie nawzajem. Nic się nie marnowało, bo i niewiele było.

Czy miałaś jakieś zwierzęta? Jakiej?

W gospodarstwie były konie. Bardzo je z dziadkiem kochaliśmy. Jeden był tak nauczony, że sam pole orał! Twój tata i wujek siedzieli na dwóch końcach pola, a koń chodził od jednego do drugiego. Ależ dziadek ich wtedy skrzyczał! Muszę powiedzieć, że pomysł mieli, żeby się nie napracować. Oprócz koni zawsze były świnię, krowy, kury, kaczkę, gęsi. Były jeszcze pies i kot.

W jakim stylu wtedy się ubierałaś?

Tak jak wszyscy. Nie było takiej różnorodności. Nosiło się to, co było. Przeważnie jedno dziecko po drugim. Mama szyła sukienki np. z zastron. Dostałam też w prezencie spodnie dzwony, gdy byłam panienką. To był mój skarb.

Słuchałaś jakiejś muzyki? Jakiej?

Tak. Uwielbiałam Annę Jantar, Filipinki, Stana Borysa.

Gdybyś mogła wybrać, to kiedy wolałabyś dorastać, wtedy czy teraz?

To bardzo trudne pytanie. Jestem taka, jaka jestem, przez to, jak zostałam wychowana. W szacunku do tego, kim kto jest, a nie co ma. Jak patrzę na tę całą nowoczesność, na tę gonitwę za pieniędzmi, to chyba już wolę te swoje skromne czasy.

Jesteś najwspanialsza, babciu. Dziękuję ci bardzo za poświęcony czas.

Wycinaliśmy z dyń dziwne stwory i strasziliśmy nimi sąsiadów

Marcel Zając, klasa VII b
– wywiad z babcią Bogumiłą Zając

Czy chodziłaś do szkoły?

Tak, osiem lat do szkoły podstawowej. Do szkoły miałam dwa kilometry, chodziłam pieszo nawet w zimę, gdy był duży mróz. Potem do szkoły zawodowej przez trzy lata.

Jak w tamtym czasie żyło się bez internetu i jak spędzaliście wolny czas?

W moich latach dziecięcych nie było telefonów, internetu ani nudy, a wręcz przeciwnie – było bardzo wesoło. Zbieraliśmy się z przyjaciółmi i wolny czas spędzaliśmy, grając w gry, zabawy, np. w chowanego, palanta czy podchody – najczęściej w lesie. Zimą i jesienią z dyń wycinaliśmy dziwne stwory jak teraz na Halloween i chodziliśmy pod okna sąsiadów i ich strasziliśmy. Zimą organizowaliśmy kuligi z zaprzęgiem konnym i dużymi sankami.

Co najlepiej zapamiętałaś z tamtych czasów?

Najbardziej zapamiętałam ze swoich młodzieńczych lat zabawy w remizie, gdzie spotykaliśmy się naprawdę wszyscy i wszyscy się dobrze bawili. Teraz niestety tego brak. Ludzie nie potrafią się tak bawić. Kiedyś nie było takiego chaosu jak teraz. Tęsknię za tamtymi czasami.

W co się ubieraliście?

Nosiło się wtedy spodnie dzwony, w których szerokość nogawki była szersza niż długość buta. Były modne spodnie wranglery – które były bardzo drogie, koszulowe bluzki z dużymi kołnierzykami, krótkie spódnice mini. Bardzo lubiłam chodzić w sukienkach w kwiaty. Zawsze modne były długie i kręcone włosy.

Babciu, w tamtych czasach jak wyglądał twój typowy dzień?

Gdy już skończyłam szkołę i zaczęłam pracę, to wstawałam o 5:30. Do pracy jeździłam autobusem. Pracowałam osiem godzin i po wyjściu wracałam na przystanek. W czasach mojej młodości nie było za wiele samochodów. Prawie każdy jeździł PKS-em. Po powrocie do domu pomagałam rodzicom w przydomowych pracach.

Teraz mamy duże sklepy, supermarkety, a gdzie ty kupowałaś żywność?

Też były sklepy, ale brakowało towaru. Przed stanem wojennym żywność kupowało się na kartki. Nazywały się żywnościowymi i można było na nie kupić cukier, mąkę, wędliny, kawę itp. Godzinami staliśmy w kolejkach przed sklepem, żeby cokolwiek dostać.

To co jedliście, skoro tak trudno było dostać żywność?

Głównym pożywieniem w czasach mojej młodości były danie gotowane, np. na śniadanie kluski zacierki na mleku, kluski lane, zupy, a na kolację placki ziemniaczane, barszcz czerwony. Podstawą było to, co się samemu ugotowało. W każdą niedzielę na obiad był rosół z kury. Często smażyło się pączki lub były pieczone ciasta drożdżowe. To były rarytasy. Wędliny i mięsa były w większości na święta.

Babciu, kiedy i jak poznałaś się z dziadkiem?

Pod koniec lat 70., na początku lat 80. były organizowane wszędzie zabawy taneczne. Na takich zabawach schodziła się młodzież ze wsi i okolic. Nieliczni kawalerowie przyjeżdżali motorami, a ci zamożniejsi samochodami. Na jednej z zabaw poznałam dziadka Tadeusza. Dziadek należał do tych, którzy mieli samochód. Pamiętam, że bardzo mi się spodobał od pierwszego spotkania, miał ładne, kręcone włosy i był w białym golfie.

Mimo wszystkich trudności było wesoło, ludzie byli życzliwi, wieczorami można było wyjść i nikt się nie bał o swoje bezpieczeństwo.

Dziękuję bardzo, babciu, że poświęciłaś mi czas i porozmawiałaś ze mną.

Jak żyło się w PRL-u

Szymon Zuchniak, klasa VII b

– wywiad z babcią Kazimierą Zuchniak

Wywiad, który przeprowadziłem z moją babcią Kazimierą Zuchniak, dotyczy życia mieszkańców naszej okolicy, począwszy od lat 60. Moja babcia urodziła się w 1954 roku.

Jakie było życie na wsi?

Warunki życia ludzi można określić jako ciężkie. Wszyscy utrzymywali się z pracy na roli, którą wykonywali ręcznie. Nie było żadnych maszyn rolniczych. Główną siłą pociągową były konie. Pola nie były drenowane, przez co często były zalewane przez wodę. Na ludzi były nałożone obowiązkowe dostawy zboża, ziemniaków, żywca. Jeśli ktoś nie wywiązał się z tego obowiązku, były nakładane wysokie kary pieniężne. Rolnikom nie zostawało wiele na utrzymanie rodziny.

Jak wyglądało życie i rozwój dzieci w dawnych czasach?

Dzieci wychowywały się w trudnych warunkach. Nie było prądu ani wygodnych biurków, lekcje odrabiano przy lampie naftowej. Do szkoły niezależnie od odległości dzieci chodziły pieszo. W szkole obowiązywał fartuszek z białym kołnierzykiem. Uczniowie uczyli się w klasach słabo ogrzewanych, gdzie były ustawione drewniane ławki ze szklanymi kałamarzami. Często w drodze do domu dzieci robiły zakupy w sklepie. Podstawowym produktem był zaledwie jeden bochenek chleba, który miał wystarczyć całej rodzinie.

Czy w późniejszych latach warunki życia się poprawiły?

Lata późniejsze nie były wcale lepsze. Brakowało wszystkiego, co by mogło poprawić poziom życia. Ludzie stali w kolejkach całe noce, żeby kupić potrzebne do prowadzenia gospodarstwa domowego sprzęty, np. lodówkę. Podstawowe produkty spożywcze były sprzedawane na kartki, np. cukier, wędlina, mięso itp.

